POLSKA WALCZĄCA

ŻOŁNIERZ POLSKI NA OBCZYŹNIE

FIGHTING POLAND — WEEKLY FOR THE POLISH FORCES — PRICE TWOPENCE

Wychodzi co tydzień — *Dnia 12-go czerwca 1943r.* — **Rok V. Nr. 23**

GUARDA E PASSA

KUSZENIE SZATANA

W jednym z parków londyńskich siedział sobie na ławeczce polski pułkownik. Wkrótce przysiadł się do niego cywilny pan i po chwili otworzył rozmowę, generalnym angielskim kluczem do otwierania rozmów — "*nice day.*" Pułkownik nie widział powodów do zaprzeczenia oczywistości, powtórzył to samo i patrzył dalej na wierzbę nad wodą. Wierzba była podobna do polskiej.

Ale cywilny pan nie po to siadł obok polskiego oficera, aby milczeć. Zwrócił się do niego z pytaniem, czy umie po rosyjsku.

—"Nie — tylko po angielsku" — była odpowiedź.

—"A co pan myśli o stosunkach z Rosją?"

—"Nie zajmuję się sprawami politycznymi — nie znam się na tym" — odpowiedział pułkownik.

—"Przecież jednak ten Stalin" — i tu nastąpiło określenie Stalina czysto rosyjskim stylem — "przecież on wasz wróg największy."

Pułkownik zdziwił się.

—"Nie znam się na tych sprawach, a na czym się nie znam, o tym nie zabieram głosu. A tym bardziej w rozmowach z nieznajomymi." — To powiedziawszy, wstał i odszedł. Szyderczy uśmiech i zły wzrok cywilnego pana szedł za nim.

Inna scena. Na przystanku autobusowym czeka podchorąży z napisem "*Poland*" na ramieniu. I znowu jakiś cywilny pan. Trudno stwierdzić, czy ten sam czy inny, w każdym razie z tej samej parafii, co poprzedni, bo w rozmowie znów pada pytanie: "czy umie pan po rosyjsku," a potem fala oskarżeń przeciw Sowietom i biadanie nad "nieszczęśliwą Polską."

Podchorąży nie mógł nic powiedzieć, bo nadszedł jego autobus. Cywilny pan nie zdążył spełnić swego zadania.

Te wypadki opowiadane przez wiarygodnych ludzi niech będą ostrzeżeniem przed prowokacją. Ileż takich wypadków musiało się jeszcze zdarzyć. Niestety nie ma gwarancji, że "cywilny pan" zawsze trafi na doświadczonego oficera lub, że autobus nadejdzie na czas. Iluż zachęconych będzie szczerością i otwartością słów życzliwego cudzoziemca i rany swoje otworzy przed nim i polski potok słów na niego wyleje. A potem popłyną oskarżenia, jak to polskie wojsko jest wrogo usposobione dla naszego największego i najpotrzebniejszego alianta.

Wypadki wyżej podane powinny nas nauczyć panowania nad sobą, ważenia swoich słów, jeśli już mówić musimy. Nie, najlepiej, jeśli nas nauczą milczenia. Bo słowa w takich okolicznościach nic nam nie pomogą, ale zaszkodzić mogą wiele. Nigdy niewiadomy jest cel, w jakim zadaje się nam pytania: — "Kogo wy Polacy bardziej nienawidzicie: hitlerowców czy bolszewików" — bo przypominają faryzeuszów pytających Chrystusa czy mają płacić grosz czynszowy, albo niemądrą ciocię, która dziecko wprawia w kłopot pytaniem: "Kogo więcej kochasz tatusia czy mamusię."

Szanujmy swoje słowa i nie obdarzajmy nimi kogobądź. Szanujmy swoje poglądy i uczucia i nie wystawiajmy ich na targ, aby nimi handlowali na naszą szkodę — nieznani nam z nazwiska, a znani z intencji.

Uczmy się najtrudniejszej dla Polaka rzeczy — milczenia.

WOŹNY W HYDE PARKU

Jeżeli jednak już mówić musimy lub mówić potrzeba, to posłuchajmy dobrego dialogu.

Mównica w Hyde Parku. Na jakiejś skrzynce stoi mówca i wykrzykuje przeciw Polakom.

Wśród audytorium stoi jeden skromny Polak — o ile Polak może być skromny, ale ten był — i słucha.

Ten Polak to woźny jednego z polskich urzędów w Londynie. Mimo niewysokiej pozycji — pod względem znajomości angielskiego bije niejednego ze swych wysokich przełożonych. Nauczył się go dopiero tu w Anglii. Słucha z zaciekawieniem.

A mówca krzyczy:

—"Polacy to faszyści — hrabiowie, ja robotnik długi czas byłem bez pracy, dostawałem tylko kilka szylingów tygodniowo, a oni tu żyją z naszych pieniędzy i psują nasze stosunki z Rosją. Znam Rosję, byłem i w Stalingradzie."

Nagle z grona słuchaczów odezwał się głos:

—"Pan jest płatnym agentem. Za czyje pieniądze jeździł pan po Rosji, jak Pan miał tylko kilka szylingów tygodniowo?"

Był to głos naszego woźnego.

Po audytorium przeszedł szmer wątpliwości co do mówcy — i zaciekawienia, co odpowie. Ale mówca pominął to i ciągnął dalej:

—"Albo ci polscy oficerowie, po 30 funtów płacą za salony u Ritza, obwieszeni orderami — za co oni mają te ordery."

—"Napewno nie za to, że w Hyde Parku wykrzykiwali na pace od mydła" — wtrącił woźny.

Po audytorium przeleciała mgła uśmiechów.

—"Wojsko polskie wyjechało z Rosji zamiast przy boku Rosji bić się z Hitlerem."

Ale woźnego nic nie wytrąciło z równowagi.

—"Powiedz Pan gdzie naszych 10 tysięcy oficerów? A jak się wojsko ma bić bez oficerów?"

Poczucie hierarchii wrodzone Anglikom przywitało uwagę z żywą aprobatą. Mówca trochę zaczął się płoszyć. Licząc na nieświadomość słuchaczy, zaczął łgać:

—"Polacy wzięli broń od Rosji i wyjechali do Persji."

Kamienny spokój woźnego nie drgnął i wsparty rosnącą aprobatą otoczenia zagrał na strunie dumy angielskiej.

—"Broń mają Polacy od Anglii i Rosja ma broń od Anglii. Pan swój kraj poniża jeśli o tym nie mówi."

Tu słuchacze mieli dość, bo wszedł w grę honor Anglii.

—*Paid agent* — rzekł jakiś starszy pan i splunął na długość trzech koni.

—*Paid agent* — powtórzyły głosy w zgromadzeniu. Ludzie poczęli się rozchodzić. Ostatni opuścił plac boju nasz bojownik. Na pace mydła został osamotniony "*paid agent.*"

Za ten dialog darowałbym wiele mów na bankietach i akademiach. Tego woźnego warto nie tylko uściskać. Wart on Krzyża Zasługi za odwagę cywilną i za swoją pracę nad językiem angielskim.

O ileż gorzej od tego woźnego wyglądamy my wszyscy, którym w podobnych rozmowach brak nie tyle argumentów, ile angielskiego. Tak łatwo można by sparaliżować tysiące kłamliwych lub głupich argumentów.

Jak słusznie Zygmunt Nowakowski domaga się ekipy polskiej do Hyde Parku choć uważam, że lepiej było by, aby to nie byli mówcy na pace — lecz "wtrącacze" z audytorium.

Mróz zdejmuje człowieka na myśl o tym, jak mało skorzystaliśmy z pobytu w Anglii. I jak z tego będziemy musieli się tłumaczyć.

POLAK W STALINGRADZIE

W kinie londyńskim idzie obraz sowiecki o Stalingradzie. W pewnej chwili na ekranie widać cmentarz poległych żołnierzy niemieckich. Na grobach krzyże, na krzyżach nazwiska niewidoczne, nie do odczytania. Jedno tylko nazwisko na pierwszym planie wyraźne — bije w oczy: "Zdrojewski."

Na widowni jakiś pan nachyla się do siedzącego obok żołnierza polskiego i pyta:

—"To polskie nazwisko?"

—"Tak odpowiada żołnierz — takie samo jak Wyszyński i Rokossowski."

Sąsiad nie zwrócił uwagi na ostatnie nazwiska, szedł dalej prosto do celu.

—"To Polacy biją się za Hitlera przeciw Rosjanom?"

—"Nie panie — to Polak wzięty przemocą do wojska niemieckiego wolał zginąć, niż bić się za Hitlera. Takich cmentarzy z polskimi nazwiskami pełno jest i w Polsce, i w Niemczech, i w Rosji."

—"Oh" — stęknął pan — i zamilkł. Nie miał widać informacji, jak ma na to odpowiedzieć.

SZKOŁA SPOKOJU

Warto czytać "*Daily Worker.*"

Tylko pierwsze przeczytane numery podrzecie z wściekłości na strzępy, ale dalsze zastąpią Wam literaturę humorystyczną. Będziecie tam czytać wesołe rzeczy o Rządzie Polskim w Londynie, złożonym z *landlordów*, a więc hrabia Mikołajczyk, książę Stańczyk, wice-hrabia Popiel i t.d.

Dowiecie się, że są to obszarnicy, którzy gnębią chłopów i traktują ich, jak niewolników. Niewątpliwie jest to mowa o Kwapińskim, właścicielu kilku tysięcy morgów ziemi, który ze służby folwarcznej wyciskał krew, łzy i tysiące funtów.

Dowiecie się, że to rząd faszystów i hitlerowców, a więc zapewne jest to mowa o Seydzie, który całe życie walczył z Niemcami — i w ogóle dowiecie się wielu rzeczy w tym stylu.

Wyszyński Was zawiadomi o szpiegostwie Polskiej Ambasady na rzecz Niemców, a już nie będziecie się posiadać z wesołości, gdy dowiecie się o zabójstwie "polskiego Quislinga" — Kurta Hoffmanna.

Gdyby jednak ktoś nie był albo skłonny, albo zdolny do wesołości na skutek tego, cośmy przeszli i co przechodzimy, a takich wśród nas jest wielu, to niech go uspokoją słowa, które padły w Izbie Gmin z ust. Min. Brackena:

"Nie ma żadnego uzasadnienia dla skandalicznego języka, używanego przez "*Daily Worker*" wobec polskich przewódców. "*Daily Worker*" już chyba napewno nie jest autorytetem, jeżeli chodzi o patriotyzm."

Z tym wszystkim radzę czytać "*Daily Worker*" tym, co mogą się zetknąć z jego angielskimi czytelnikami. Czytanie tego pisma wyrabia spokój przy słuchaniu argumentów głupich albo kłamliwych, a ten spokój jest nam w ogóle potrzebny, zwłaszcza wtedy, gdy należy z tymi argumentami walczyć. Musimy się nauczyć walczyć nie za pomocą odruchów uczuciowych, to słaba i wątpliwa broń — tu na tym terenie zyska posłuch tylko słowo spokojne, rozważne, na faktach oparte.

A kiedy przyswoimy sobie taką metodę w odpowiedzi na fałsze i kalumnie na nas miotane, to przejdziemy spokojnie i z pogardą obok afisza niedawno rozlepionego w Londynie: "Skończyć z propagandą polsko-goebelsowską." Powiemy sobie: *Guarda e passa* — spójrz i przejdź.

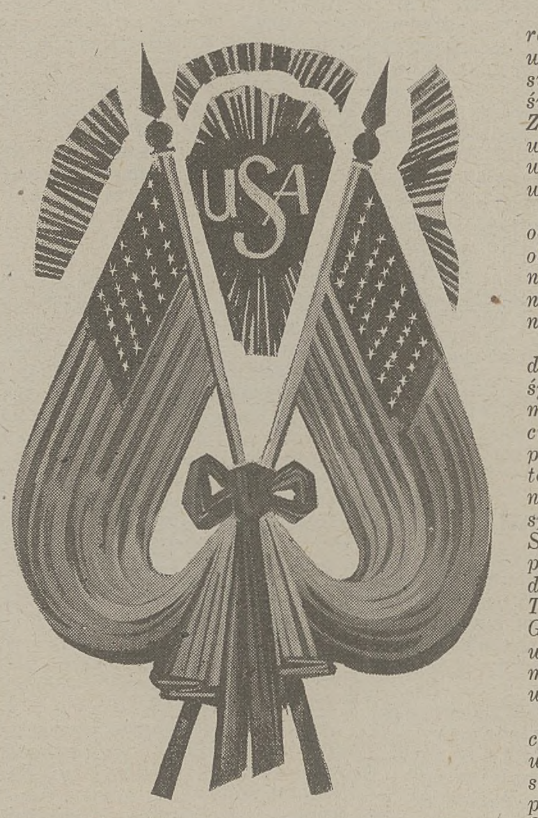
Trzeba pamiętać, że siła nasza dzisiaj, chwilowo jest mniejsza od siły wrogów. I pamiętać, że siła zawsze jest czynnikiem przepotężnym zwłaszcza w czasie wojny. I że siły nie nadrobi się ani krzykiem oburzenia, ani żalem z powodu wyrządzonych krzywd. Że jedyną naszą siłą jest — słuszność naszej sprawy i jedyną jej obroną — prawda.

Pomocą będą nam tutaj słowa Winstona Churchilla wygłoszone w dniu 12 listopada 1940 w Izbie Gmin:

"Jedynym przewodnikiem człowieka jest jego sumienie. Jedyną tarczą chroniącą pamięć o nim jest prawość i szczerość jego czynów. Jest wielce nierozsądne iść przez życie bez tej tarczy, gdyż życie często szydzi z nas, gdy obala nasze nadzieje, albo psuje nasze rachuby, z tą tarczą jednak — jakiekolwiek nas czeka przeznaczenie — pójdziemy zawsze w blaskach honoru."

STANISŁAW SZURLEJ

"STARS AND STRIPES"



Dnia 14 czerwca naród amerykański i jego Siły Zbrojne, rozciągnięte od Pacyfiku po Morze Śródziemne, uderzające w Burmie, na wyspach Aleuckich i Nowej Gwinei, gotujące się do uwolnienia Europy z pod jarzma — będą obchodzić święto swego sztandaru. 130 milionów obywateli 48 Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej zespoli się znowu, jak w pierwszym roku niepodległości, złączy się myślą i uczuciem wokół podrywającego wyobraźnię, a prostego w swej wymowie symbolu wolności swego kraju.

Jednakże tegoroczne święto Ameryki, każde jej święto, odtąd nie tylko słowem wielkiej donośności, ale i czynem olbrzymiej wagi zaświadczyła ona solidarność ze sprawą wolności Europy i wolności świata — jest świętem wszystkich narodów i wszystkich ludzi walczących o to dobro, może jedyne, które jest ważniejsze od życia, bo jest samym życiem.

Patrzymy dziś na Amerykę nie tylko jako na "arsenał demokracji," nie tylko jako na rezerwuar siły ludzkiej, na śpichrz mogący nakarmić miliony głodnych i przyodziać miliony mrących z zimna. Patrzymy na nią jako na nosicielkę wzniosłych, a nawskroś ludzkich, najpiękniejszych prawd moralnych. Widzimy z podziwem, że wspaniały syn tego kraju, Wielki Prezydent, wielki polityk, jest też wielkim, nieugiętym moralistą, jest wyznawcą wiary w sprawiedliwość społeczną i wiary w sprawiedliwość dla wszystkich narodów. Słyszymy i tym żywimy naszą nadzieję, że w jego słowach pobrzmiewa echo, przedłuża się ciągłość słów wielkich budowniczych Ameryki: George'a Washingtona, prezydenta Thomasa Jeffersona, autora "Declaration of Independence," Gettysburskiego "adresu" Abrahama Lincolna z r. 1863, w którym ten tragiczny, a szczęśliwy w swoim dziele utrzymania jedności Stanów prezydent złożył niezrównane w sile wyznanie wiary demokratycznej.

Sam Roosevelt w przemówieniu inauguracyjnym po trzecim wyborze na prezydenta stwierdził, że Washington mógłby w roku 1941 bez zmian i z taką samą słusznością powtórzyć słowa wypowiedziane w r. 1789, gdy inaugurował swoją pierwszą kadencję prezydencką, jako pierwszy prezydent Stanów: "... zachowanie świętego ognia wolności i rozwinięcie republikańskiego wzoru rządu stanowią najgłębszy sens tego doświadczenia, które stało się udziałem ludu amerykańskiego."

Dzisiejszy Prezydent Stanów w jednym ze swych przemówień formułuje tę samą ideę w taki oto sposób: "Cały świat jest w tej chwili podzielony pomiędzy niewolnictwo i wolność człowieka, pogańską brutalność i ideały chrześcijańskie. Wybiera wolność człowieka—ideał chrześcijański." W innym przemówieniu nadaje tej idei takie konkretne ujęcie: "Wierzymy, że każda narodowość posiada przyrodzone prawo do własnego życia narodowego. Wierzymy, że mężczyźni i kobiety wszystkich narodów, bez względu na ich wielkość mogą przez działanie w pokoju służyć sobie samym i światu, zapewnić bezpieczeństwo zwykłego człowieka ... Poprzez ten rodzaj służby pokojowej, każdy naród może pomnożyć własne szczęście, przegnać zmorę wojny i uniemożliwić nieludzki stosunek człowieka do człowieka."

Prezydent Roosevelt wyraził życzenie, aby w dniu 14 czerwca tego roku do barw amerykańskich dołączyły się barwy innych narodów. Nawet bez tego wezwania, które jest świadectwem amerykańskiej wspólnoty ze sprawą zjednoczonych narodów, my Polacy, my żołnierze polscy, myślą i czuciem złączylibyśmy się wokół gwiaździstego sztandaru z narodem i Siłami Zbrojnymi Ameryki. Wyraża on bowiem wiarę bliską naszym prawdziwym rodzimym tradycjom, stanowi sens walki, którą prowadzimy jako zbiorowość o lepszy, sprawiedliwy byt własny, o lepszy, sprawiedliwy, nowy świat.

ALEKSANDER JANOWSKI

Szkic sytuacyjny

POWRÓT CHURCHILLA

Niestrudzony premier Wielkiej Brytanii, przykład niebywałej energii żywotnej i rozmachu, powrócił z nowej podróży. *Po raz piąty spotkał się w toku tej wojny z Rooseveltem, po raz drugi w tym roku odwiedził Afrykę Północną.* Zjawił się tam niespodzianie, chociaż doniesienia niemieckie tym razem były słuszne, kiedy mówiły, że Churchill przebywa w Gibraltarze. Widocznie szpiedzy niemieccy siedzący w La Linea oraz Algeciras są lepsi, aniżeli inni wywiadowcy /służba wywiadu niemieckiego mocno się popsuła ostatnio; jest to dowodem, że wszystko zaczyna kuleć w kraju idealnej organizacji/.

Niewątpliwie samoloty niemieckie polowały na aparat, którym Churchill leciał. Dowodem na to jest zestrzelenie samolotu pasażerskiego na linii Lizbona-Londyn: Niemcy "dla pewności" zestrzelili i ten samolot, chociaż było niemal wykluczone, by premier brytyjski leciał tą maszyną. Najwidoczniej jednak łowy były na całego i nie chciano przepuścić żadnej maszynie. Raz jeszcze okazało się, że panowanie w powietrzu na zachodzie Europy nie należy już do Niemców i że komunikacja odbywać się może bez większych przeszkód.

Nie wiemy jeszcze, jakie są owoce narad waszyngtońskich i afrykańskich Churchilla /w afrykańskich rozmowach wziął udział również p. Eden/. Przypuszczalnie jednak są to rzeczy doniosłe, skoro *Churchill zaraz po przylocie do Londynu zwołał radę gabinetową.* Spodziewać się należy jakichś interesujących posunięć. Napewno sytuacja, jaka wytworzyła się w ciągu ostatnich tygodni budzić musi *liczne zapytania:* co dalej i jak dalej? Czy Niemcy ruszą na Wschodzie, a jeżeli nie, to jak przedstawiać się będzie sytuacja na froncie rosyjskim? Czy możliwy jest *całkowity zastój* na tym froncie, przyczem armia czerwona przeszłaby do uderzenia dopiero w "swojej" porze: późną jesienią i w zimie? Jak przedstawia się sytuacja we Włoszech? Czy dojdzie do ataku jeszcze w tym roku na ląd stały Europy, czy też ograniczymy się do zdobycia przedpola: Sardynii, Korsyki, Sycylii, ewentualnie wysp na Morzu Egejskim?

Na te wszystkie pytania da odpowiedź tylko — czas. Na razie, trzeba to przyznać otwarcie, położenie jest mocno nieprzejrzyste.

ZASTÓJ NA FRONCIE WSCHODNIM?

Wyrażaliśmy na tym miejscu nieraz zdanie, że

1/ front wschodni jest dla Rzeszy koniecznością i dlatego spodziewać się należy uderzenia w lecie.

2/ Rzesza, rozumiejąc wagę rozstrzygnięcia — w tym czy innym sensie — na tym froncie, zrobi olbrzymi wysiłek, ażeby doprowadzić do tego rozstrzygnięcia.

W rozumowaniu tym pozornie nic się nie zmieniło: front wschodni jest dalej niezmiernie dla Rzeszy doniosły, wszystkie fronty raczej Rzesza zaniedba czy "puści," aniżeli front rosyjski. Zachodzi jednak pytanie, czy Rzesza nie postanowiła "przeczekać" na tym froncie i czy w tym roku w ogóle ruszy się ofensywa niemiecka?

Pierwsze doniesienia neutralne mówiły o wielkich koncentracjach wojsk w krajach bałtyckich, o transportach Bałtykiem, o masach wojsk pancernych pod Leningradem, skupieniach "Luftwaffe." Wydawało się, że uderzenie niemieckie wymierzone będzie na Leningrad i Moskwę, przy czym nie powinno ono przyjść później, aniżeli w połowie czerwca. Dzisiaj mamy już połowę czerwca na karku, a jeszcze nie widać śladu uderzeń niemieckich. Przeciwnie, sowiecka flota lotnicza uderza coraz mocniej. "Luftwaffe" nie przejawia większej aktywności, któraby wróżyła przejście do wielkiego uderzenia lądowego.

W tych warunkach coraz częściej pojawia się za granicami Rzeszy pogląd, że *wojska niemieckie w tym roku nie uderzą.* Teoria ta narodziła się grubo przed przemówieniem radiowym generała Dietmara, który napomykał nieśmiało o takiej właśnie możliwości. Twierdzenie podobne zyskuje obecnie coraz więcej szans prawdopodobieństwa. Innymi słowy, "Wehrmacht" szedłby wybitnie na walkę obronną, starając się tymczasem wyłatać swoje braki w dziedzinie rekruta /cyfry rekruckiego zaciągu spadają w Rzeszy, albowiem idą obecnie t.zw. puste roczniki, roczniki z okresu po ubiegłej wojnie, z okresu inflacji, kiedy liczby urodzin w Rzeszy były niskie/, oraz uzbrojenia.

Rzesza czyni obecnie, jak świadczą o tym przemówienia Speera i innych, *olbrzymi wysiłek zbrojeniowy.* Zaprzecza to całkowicie przechwałkom Hitlera, wypowiedzianym jeszcze przed sześciu miesiącami, że produkcja wojenna Rzeszy jest tak olbrzymia, że w pewnych działach trzeba było zaprzestać produkcji. Była to sugestia, że Rzesza może się już dzisiaj przestawić z "miecza na lemiesz" w ograniczonej przynajmniej mierze i że tym samym nadchodzi era pomyślności, a braki żywnościowe przestaną wreszcie dolegać.

Ten wysiłek niemiecki dowodzi dwóch rzeczy:

1/ *Rzesza przekonała się, że nie jest dostatecznie uzbrojona ani na Wschodzie ani na Zachodzie i że lotnictwo jej jest zbyt słabe.* Czyni ona olbrzymi wysiłek, ażeby zyskać "lokalną przewagę" sprzętu i ażeby umocnić swoje władanie Europą,

2/ straty, jakie zadano niemieckiemu przemysłowi wojennemu są jednak poważne. Nie wiemy, jak przedstawiają się one w cyfrach. Jedne dane mówią o 30-tu procentach, co wydaje się grubo przesadzone, inne o 10-*ciu procentach,* co wydaje się o wiele bliższe prawdy. W każdym razie straty te są rzeczywiste i nie zanosi się na to, ażeby ich cyfra spadała.

Czy Rzesza może sobie pozwolić na rok "urlopu," w czasie którego wzmoże produkcję w okręgach mniej bombardowanych albo na razie nietkniętych, przeszkoli nowego rekruta, umocni swoje linie obrony, da swojej ludności odetchnięcie od strat nadmiernie wielkich? Czy tego rodzaju niezwykły plan jest do wykonania?

Nie potrafimy na to pytanie odpowiedzieć. Zachodzi drugie pytanie: czy armia sowiecka będzie przypatrywać się biernie niemieckiemu "odpoczynkowi" i czy Sowiety przejdą również na tego rodzaju "lizanie się z ran" w czasie wojny? Jeżeli tak, czy na froncie wschodnim nie zajdzie po prostu przerwa w walkach?

Byłby to jeszcze jeden *paradoks* tej osobliwej wojny, ale paradoks bynajmniej niewykluczony.

Jeżeli by istotnie wypadki szły w tym kierunku — na razie brakuje jeszcze wielu elementów, ażeby można orzec z wszelką pewnością, że tak będzie — to wówczas na armiach anglosaskich tym bardziej spoczywa obowiązek ruszenia na Europę. Obowiązek taki będzie jeszcze trudniejszy, aniżeli myślano, albowiem armie sojusznicze działałyby przeciwko Europie niejako same.

Należy odczekać z dalszymi wnioskami. Ale trzeba być przygotowanym na niespodzianki.

UGODA W AFRYCE FRANCUSKIEJ

Uzyskanie zgody w Afryce Francuskiej nie było łatwym zadaniem. Powołanie do życia władzy tymczasowej przyszło bardzo ciężko. Liczne intrygi, posunięcia personalne i t.d. wielce zaciemniają obraz. Osobiste urazy i podejrzenia bynajmniej nie zostały usunięte, ale wszystko zdaje się dowodzić, że jednak nie rozleci się ta "święta" zgoda francuska.

Churchill odegrał wielką rolę w sklejeniu tej zgody. Giraud przejawiał spory takt, generał Catroux okazał się człowiekiem wielce potrzebnym, dobrym dyplomatą. Oczyszczenie terenu z ludzi pokroju Peyroutona zostało zręcznie przeprowadzone. Wiemy jednak, że n.p. dymisja Peyroutona złożona na ręce de Gaulle'a o mało nie wywołała burzy: de Gaulle nie miał formalnego prawa przyjęcia tej dymisji, albowiem naczelna władza dalej jeszcze była w rękach Girauda. Stary generał zareagował na posunięcie młodszego kolegi bardzo stanowczo: mianował admirała Muselier na stanowisko bardzo wybitne.

Było to ostrzeżenie przyjacielskie, ale bardzo na czasie. Wydaje się, że dla ruchu de Gaulle'a byłoby to celowe, gdyby je zrozumiano. Tworzenie mitu koło jego osoby wydaje się czymś przedwczesnym i czymś, co nie pachnie najlepiej. Wiemy, że na takim podłożu zbyt łatwo rodzą się wszelkie późniejsze dyktatury; wszelkie dyktatury *kamuflowane* mogą właśnie w tej atmosferze powstawać. Francja ma przed sobą do odbycia długą drogę i napewno nie wszystko będzie tak, jakby chcieli przyjaciele Francji. Nie widzimy jednak dlaczego Francja miałaby tworzyć płk. de la Rocque w nowym wydaniu; wojsko winno być we Francji siłą, ale nie powinno jednak wchodzić na arenę polityczną. *Mimo wszystko Francja Clemenceau'a była silniejsza, aniżeli Francja — Pétaina.*

Trzeba na tym miejscu wyrazić uznanie dla przyjaznego stanowiska U.S.A. oraz rządu brytyjskiego wobec kryzysu francuskiego. Dzięki temu stanowisku udało się uniknąć wielu nieprzyjemności. Gdyby rządy tych państw poszły za wołaniem rozmaitych krzykaczy, którzy wzywali do "czystki elementów faszystowskich," gdyby istotnie natychmiast zabrano się do kuchni politycznej — wynik byłby żałosny. *Dzięki umiarowi i cierpliwości uzyskano uspokojenie, doprowadzono do stopniowego wyłączenia ludzi niepożądanych. Kraje Afryki płn. nie zostały objęte niepokojami.*

Ta inicjatywa anglo-amerykańska dobrze wróży przyszłym podobnym rozwiązaniom — już w Europie.

ZBIGNIEW GRABOWSKI

Z tygodnia na tydzień

30 maja: W nocy z 29/30 polskie dywizjony bombowe brały udział w nalocie na Wuppertahl. Wszystkie załogi polskie powróciły.

—Dziewięć okrętów francuskiej marynarki wojennej, znajdujących się od czasu kapitulacji Francji w porcie aleksandryjskim, przeszło dobrowolnie na stronę Sprzymierzonych.

31 maja: Gen. Sikorski odbył w czasie swego pobytu w Kairze drugą z kolei konferencję z gen. Henry M. Wilsonem, głównodowodzącym alianckich sił zbrojnych na Środkowym Wschodzie.

—Generał Sikorski przeprowadził inspekcję obozu junaków oraz szkoły łączności i mechaniki R.A.F. w Egipcie.

—Polskie dywizjony myśliwskie dwukrotnie przeprowadzały "wymiatanie" nad terenem okupowanym przez nieprzyjaciela oraz dwukrotnie osłaniały wyprawę bombową. Wszyscy piloci polscy powrócili z tych działań.

1 czerwca: Gen. Sikorski przybył samolotem z Kairu do miejsca postoju dowództwa Armii Polskiej na Środkowym Wschodzie. Po przybyciu Naczelny Wódz wydał rozkaz do żołnierzy, w którym mówi: "Stoją przed nami wielkie trudności. Polska ma wielu możnych wrogów. Przezwyciężymy ich przez utrzymanie dotychczasowej naszej jedności."

3 czerwca: Powstał Francuski Komitet Wyzwolenia Narodowego, jako centralna władza Francji walczącej przeciwko państwom "osi," pod przewodnictwem generałów Giraud i de Gaulle.

—Generał Sikorski dokonał inspekcji Dywizji Kresowej Armii Polskiej na Wschodzie.

Po uroczystym nabożeństwie ks. biskup Gawlina wygłosił kazanie, w którym powiedział m.in.: "Naczelny Wodzu Twoja obecność tutaj jest czymś więcej niż symbolem, jest dokumentem prawdziwej polskiej jedności i dowodem, że Polacy, gdziekolwiek się znajdują, nie złożyli broni."

Generał Sikorski przemawiając do żołnierzy powiedział m.in.: "Droga, która prowadzi do wielkości jest twarda i trudna. Wymaga dużych ofiar, ale jest jedyną drogą dla Polaków. To co widziałem dotychczas na Środkowym Wschodzie, potwierdza moje przekonanie, że na drodze bezwzględnego obowiązku — najwspanialszego obowiązku jaki Kraj zna, bo obowiązku żołnierskiego — osiągniecie wolną, niezależną, większą i bardziej sprawiedliwą Polskę."

Na zakończenie inspekcji odbyła się defilada, którą prowadził gen. Szyszko-Bohusz.

4 czerwca: Proaliancka rewolucja wojskowa w Argentynie przeciwko rządowi prezydenta Castillo.

—Piloci polscy stoczyli dwie walki z myśliwcami niemieckimi nad brzegami południowo-wschodniej Anglii. W czasie tych działań pilot polski zestrzelił napewno jednego FW-190. Wszyscy piloci polscy powrócili.

Wojna na morzu

KOMPROMITACJA ADMIRAŁA DOENITZA

"Dowiodę, że okręty podwodne same mogą wygrać wojnę" — twierdził *Grossadmiral* Doenitz niespełna trzy miesiące temu. — "Okręt podwodny nie boi się bardziej samolotu, niż kret kruka" — wołał do swych załóg. — "Z samolotami będziemy walczyli na powierzchni!" . . .

Proroctwa te stanęły Doenitzowi kością w gardle. I niewiadomo czy Hitler będzie swemu "Grossadmirałowi" za nie wdzięczny. Bo że poderwały one ducha nie tylko wśród podwodników niemieckich, ale i w całych Niemczech — to rzecz jasna.

Cyfra zatopień za maj, podana przez oficjalne źródła niemieckie, znów spadła. W marcu Berlin głosił, że przy pomocy okrętów podwodnych zatopił 857,000 ton, w kwietniu 415,000 ton, w maju już tylko 380,000 . . . Cyfry te — w myśl słów Pierwszego Lorda Admiralicji — są ordynarnie przesadzone. Tym nie mniej proporcja jest charakterystyczna.

Po różnych niezgodnych tłumaczeniach między rzecznikami niemieckiej kwatery głównej, dowództwa marynarki i biura propagandy, gdzie wynajdywano najróżnorodniejsze wykręty gwoli podniesienia ducha w narodzie niemieckim — Goebbels znalazł nową wymówkę. Radio berlińskie oświadczyło *urbi et orbi*, że cyfra zatopień spadła, bo . . . Atlantyk jest pusty. Po prostu nie ma kogo torpedować!

Bardzo to piękny wybieg, mający na celu przekonanie wygłodzonego i bombardowanego mieszkańca Niemiec o skuteczności wojny podwodnej. Ot po prostu: albo Alianci stracili już tyle statków, że nie mają czym pływać po Atlantyku, bądź też niemieckie okręty podwodne spędziły konwoje Sprzymierzonych z morza i statki nie ośmielają się, pod grozą zatopienia, wysunąć nosa z portów.

Ba, ale tym tak pięknym wywodom przeczą najpierw słowa admirała Lützowa — rzecznika niemieckiej marynarki wojennej — o szalonych trudnościach i niebezpieczeństwach, czyhających na niemieckie okręty podwodne, o rosnącym przeciwdziałaniu, o jakichś nowych wynalazkach angielskich czy amerykańskich przeciwko podwodnemu niebezpieczeństwu. No i przeczy sama cyfra zatopień, acz przesadzona, to dowodząca, że aby można było zatopić tyle statków, trzeba znaleźć przeciwnika na morzu. A więc przeciwnik wciąż pływa. I Atlantyk bynajmniej nie jest pusty.

Tak oto pan Goebbels ze swymi pomocnikami załgał się raz jeszcze. A teraz parę słów prawdy z przemówienia Pierwszego Lorda Admiralicji Brytyjskiej:

"Żaden z miesięcy wojennych nie był tak pomyślny w walce z okrętami podwodnymi nieprzyjaciela, jak ostatni maj. Straty w tonażu handlowym Sprzymierzonych były najmniejsze z pośród ostatnich sześciu miesięcy, natomiast straty niemieckich okrętów podwodnych większe niż kiedykolwiek. Przekraczają one w każdym razie ilość nowych okrętów podwodnych, jakie nieprzyjaciel mógłby wprowadzić do akcji. Poza tym dużo okrętów podwodnych zostało uszkodzonych, a stałe bombardowania zarówno ich podstaw operacyjnych, jak i przemysłu niemieckiego, przyczyniły się do dalszych strat i obniżenia produkcji."

I teraz najważniejsze. W odpowiedzi na oświadczenie niemieckie o "pustce na Atlantyku," Pierwszy Lord Admiralicji stwierdził:

"*Poczynając od Nowego Roku* 1942, *jeszcze w żadnym miesiącu import morski Wielkiej Brytanii nie osiągnął tak wielkich rozmiarów, jak w maju bieżącego roku.*"

Oto słowa, które napewno pójdą nie w smak propagatorom niemieckim. A sens ich Niemcy odczują niebawem na własnej skórze.

I jakże wygląda teraz admirał Doenitz ze swoim zapewnieniem, że okręty podwodne same wygrają wojnę, a nawet odsuną od kontynentu europejskiego niebezpieczeństwo inwazji. Jeszcze chyba nigdy dowódca na morzu nie skompromitował się w podobny sposób.

Na zakończenie można wyjaśnić, że systematyczne przegrywanie bitwy o Atlantyk i o komunikacje morskie przez Niemcy, nie świadczy bynajmniej o bezużyteczności okrętów podwodnych w nowoczesnej wojnie, albo o bezwzględnej przewadze lotniczej nad okrętami. Dowód na to, że tak nie jest, są choćby sukcesy podwodnych okrętów brytyjskich i Sprzymierzonych /a w tym i polskich/ na Morzu Śródziemnym. Aby jednak panować na morzu, trzeba mieć nie tylko okręty podwodne, lecz także i wszystkie kategorie okrętów nawodnych — jednym słowem flotę w taktycznym tego słowa pojęciu. I trzeba flocie tej dać pełną współpracę własnego lotnictwa.

Tymczasem flota nawodna "osi" nauczona smutnym doświadczeniem nie ośmiela się działać na szerszych wodach. A lotnictwo niemieckie nie posiadając już dawnej przewagi, ogranicza się do mordowania kobiet i dzieci w spokojnych wsiach i miasteczkach.

To też zamiast straszyć Anglię nowymi represjami lotniczymi, Niemcy lepiejby zrobili używając resztek rezerw Luftwaffe do bardziej militarnych zadań. Bo nowe okrucieństwa, jeśli nastąpią, pobudzić mogą tylko ducha zemsty. I sprawią, że godzina porachunku będzie dla Niemców jeszcze bardziej dotkliwa. Im więcej zbrodni, tym sroższa kara.

A kary tej nic już odwrócić nie zdoła, tak jak nie zdołały zmienić położenia na morzu okręty podwodne Doenitza.

NA MORZU ŚRÓDZIEMNYM

Komunikat włoski podaje, że w ciągu maja okręty podwodne i samoloty "osi" zatopiły na Morzu Śródziemnym 13 transportowców /88,000 ton/, jeden okręt podwodny, oraz uszkodziły krążownik i 3 kontrtorpedowce.

Gdyby cyfry te rzeczywiście były prawdziwe i pozbawione zwykłej przesady "osiowej," to i tak zastanowić by się trzeba nad ich znikomością. Przecież agencje niemieckie i hiszpańskie co dzień niemal trąbią o przechodzeniu przez Gibraltar dziesiątek i setek okrętów i statków przeciwnika, o koncentracjach w portach Afryki i Lewantu. Z drugiej strony wiemy, że tonaż sprzymierzony na Śródziemnomorzu należy liczyć na miliony. Zatopienie jednego okrętu podwodnego i 13 transportowców jest więc utopieniem muchy w jeziorze.

W chwili gdy piszemy te słowa, brak jeszcze wiadomości o wielkiej operacji Sprzymierzonych. Ale już — z góry — stwierdzić można, że siły morsko-lotnicze W. Brytanii i jej Sprzymierzeńców opanowały całkowicie sytuację i robią co chcą. Skoro nawet, "meldowane" usłużnie przez Hiszpanów, konwoje i eskadry bez przeszkód mijają Gibraltar, skoro von Arnim nie zdołał wyewakuować z Tunisu nawet drobnej części swych sił lądowych — bądź co bądź bardzo cennych w sprzęcie i personelu /szczególnie jakościowo/, skoro flota brytyjska bezkarnie bombarduje Pantellarię, to jasne się staje, że siły morskie "osi" nie czują się zdolne do walki o panowanie na morzu.

Zatopienie 2 kontrtorpedowców i 3 transportowców włoskich w środku Cieśniny Messyńskiej przez kontrtorpedowce brytyjskie i to bez strat dla tych ostatnich — świadczy o tym najlepiej.

Możliwe, że nastąpią jeszcze spotkania w czasie desantów i na wodach przybrzeżnych, możliwe, że Sprzymierzeni poniosą tu straty, ale fakt faktem, że cała flota Mussoliniego, wspomagana przez okręty podwodne i oficerów Hitlera, nie poważyła się wyjść na morze by pomóc Arnimowi, czy choćby usiłować wywieźć część jego ludzi. I taż flota nie płynie na pomoc zagrożonej Pantellarii. Natomiast pozwala się bombardować przez lotnictwo Sprzymierzonych w swej nowej kryjówce — Spezii.

Podkreślić należy, że O.R.P. "Błyskawica" od początku desantu afrykańskiego /w listopadzie 1942/ walczył chlubnie na tych wodach, biorąc rewanż za Dunkierkę. Brał on udział w ewakuacji Dunkierki /1940/, przyczem wyholował z portu pod ogniem wroga, uszkodzony brytyjski kontrtorpedowiec "Greyhound" i doprowadził go szczęśliwie do Anglii.

NA ALEUTACH

Opór japoński na wyspie Attu skończył się. Komunikaty japońskie na pociechę twierdzą, że zatopiono przytem kilka amerykańskich okrętów wojennych. Komunikaty U.S.A. zaprzeczają temu stanowczo. W każdym razie Aleuty są pozycją strategicznie ważną. I to tym bardziej, że pożądana tak bardzo przez Amerykanów współpraca sowiecka na Dalekim Wschodzie nie istnieje. Ma to skądinąd tę dobrą stronę, że transporty na statkach sowieckich płyną z Ameryki do Władywostoku niezaczepiane przez Japończyków.

W chwili obecnej wysiłek amerykański skierowany jest na wyspę Kiska.

ADMIRAŁ YAMAMOTO NIE ŻYJE

Podpora reżimu faszystowskiego w Japonii i jeden z głównych podżegaczy wojny, człowiek, który oświadczył, że warunki pokoju dyktować będzie z Białego Domu w Waszyngtonie — nie żyje. Admirał Yamamoto, dowódca floty japońskiej, jeśli wierzyć komunikatom z Tokio, zginął kilka tygodni temu w walce powietrznej. Samolot jego został zestrzelony przez Amerykanów. I to akurat w chwili gdy admirał kierował operacjami między Nową Gwineą a Archipelagiem Salomona.

Jedno rozczarowanie zostało admirałowi japońskiemu oszczędzone. Bo właśnie przed kilku dniami komunikat amerykański podał, że z 19 okrętów wojennych U.S.A., zbombardowanych w Pearl Harbour, tylko pięć nie powróciło do służby. Pozostałe 14 już wyremontowano, licząc w to 3 wielkie pancerniki.

FLOTA FRANCUSKA

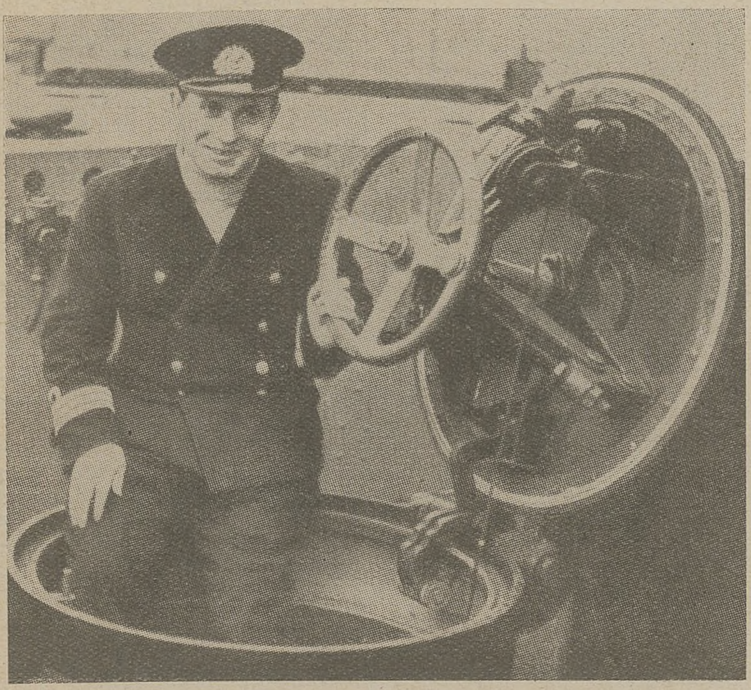
Eskadra francuska, dotychczas przebywająca w Aleksandrii, w składzie pancernika, trzech krążowników ciężkich, krążownika lekkiego, trzech kontrtorpedowców i okrętu podwodnego — przyłączyła się do Francji Walczącej. Daje to Sprzymierzonym pomoc nie do pogardzenia. I to tymbardziej, że po za pancernikiem, wszystkie te okręty są najzupełniej nowoczesne.

W nadchodzących operacjach, gdyby chodziło o desant w Południowej Francji lub na Korsyce, okręty francuskie, znające doskonale te wody i mające niewątpliwie przyjaciół na brzegu, mogą odegrać dużą rolę.

JULIAN GINSBERT

Jan Grudziński

II. Legenda*



Dowódca O.R.P. "Orzeł"

Jest głęboka cisza. Siwe mgły przesuwają się leniwie po wybrzeżu i zaspana ziemia odchodzi w dal. Dymy się strzępią nad dachami. Głos morza staje się łagodny i miękki. Ma w sobie dziwną mądrość i ukojenie.

Idziemy brzegiem morza, brzegiem tego głosu, który w nas zapada jak kołysanka. Idziemy we dwóch; moim towarzyszem jest Tadzio Stefanicki. Był ze mną w Korpusie Kadetów, lecz ukończył go rok po mnie, gdyż repetował siódmą klasę. Tadzio, jak dawno go pamiętam, nigdy nie był poważny. Słynął z zamiłowań aktorskich. Układał sam skecze i krótkie komedie. Nie lubiłem ich, gdyż człowiek wychodził w nich zawsze mały, małostkowy, zalatujący nicością i pyłem. Gdy zajmiesz się nim baczniej, w ręku pozostanie okruszyna śmiecia. Było to gorsze, niż gdyby był zbrodniarzem, lub szaleńcem.

Z Tadziem nigdy nie można było mówić o rzeczach wzniosłych, lub chociażby ponadprzeciętnych. Umysł Tadzia wtedy wysilał się, by dobrać się do tego od kuchni swoim sposobem, by znaleźć w tym najmniejszą słabiznę. Gdy przemawiają do niego głosem, świadczącym o uniesieniu, o namiętności, o zachwycie, o porywach entuzjazmu, Tadzio uśmiecha się kącikami ust, potakuje głową. Nie potakuje tylko z grzeczności. On słucha naprawdę, lecz nie bierze tego w siebie, nie wchłania. Słucha zimno i rzeczowo. Jego umysł pracuje. Nagle w oczach zapalają się błyski. Tadzio znalazł to, czego szukał. Za chwilę ośmieszy publicznie tego, którego wysłuchiwał.

Z tym oto Tadziem idę brzegiem morza. Za nami zostały już dwie przegrane kampanie, polska i francuska. Szykujemy się do następnej.

—Do trzech razy sztuka — mówi Tadzio.

Wspominamy naszych kolegów z Korpusu, którzy odeszli: Aleksandra, który miał polec od pocisku artylerii, Mietka, dowódcę dyonu myśliwskiego, którego zestrzelił "Messerschmitt" i Janka, dowódcę "Orła."

—Kto czym wojuje, od tego ginie — uogólnia te zdarzenia Tadzio.

Ja mówię mało. Z Tadziem zeszedłem się przypadkowo. Lubię go w kabarecie i na boisku sportowym, razi mnie na pogrzebie i na odczycie. Teraz właśnie jestem w nastroju raczej pogrzebowym, który gna precz od ludzi. Jestem odarty ze starego życia, a jednak żyję. Czyni mnie to człowiekiem ponad wiek starym. Lubię morze i samotność. Tadzio doczepiony w tej chwili do mnie jest mi zupełnie obcy i nieprzyjazny. Sam poruszył tematy, które tkwią głęboko we mnie. Nie mogę ich jednak podejmować i rozwijać, bo znam Tadzia. Wiem, że czyha na sposobność, by wsadzić w mój patos i melancholię swój brutalny, kabaretowy dowcip. Przeważnie więc milczę lub potakuję. Czasem rzucę jakieś blade, nieszkodliwe wspomnienie, do którego, wiem, że nikt się nie może przyczepić.

Lecz oto wtedy, gdy rozmowa, a właściwie monolog Tadzia, podtrzymywany jako tako przeze mnie schodzi na Grudzińskiego, Tadzio przystaje i chwyta mnie za ramię.

—Popatrz! jak to życie wywraca wszystko — zaczyna prawie gorączkowo — ja sobie ciągle wyobrażam Grudzińskiego, takim, jaki był w Korpusie. Widziałem go potem jako kapitana marynarki, ale to było przelotnie. Zresztą on się prawie nic nie zmienił; był taki sam, jak poprzednio. Pamiętasz taki żywy i zadzierzysty. Taki czupurny. Jak żywe srebro. A jaki był naturalny. Jaki dobry kolega. Jego nigdy nie można było wyśmiać. Popatrz! ten mały, niepokaźny Janek, nasz Janek . . .

Tadzio milknie, patrzy gdzieś daleko w morze, jakby szukając słów. Jego rysy poważnieją i stają się uroczyste. Nigdy nie widziałem Tadzia z taką twarzą. Powraca do mnie.

—Czy nam się śniło kiedy, że ten mały brzdąc stworzy Legendę. Że przerośnie nas wszystkich o głowę. Że będzie najprawdziwszym bohaterem. Że będzie taki wielki. Kiedyś mu postawią pomniki, cała Polska będzie go znała jako bohatera. A ja jak popatrzę wtedy na pomnik, to pomyślę, że tarzałem się z tym bohaterem po trawie, że targaliśmy się razem za włosy, że bohater trząsł portkami ze strachu przed wykładowcą niemieckiego i to jest takie dziwne, że po prostu nie chce się pomieścić w głowie.

Tadzio zdejmuje czapkę, nastawia pierś do wiatru i wygląda tak jakby oczekiwał skądś odpowiedzi. Twarz jego przybiera piękny, lecz zupełnie obcy dla mnie wyraz. Wiatr rusza ładnymi, kruczymi kędziorami.

—Stworzył Legendę — słyszę jeszcze raz słowa wypowiedziane tak po prostu jakby to było stwierdzeniem stanu pogody. Równocześnie jest w tych słowach nuta czci i dumy.

Zaczynamy iść znowu, lecz mój towarzysz milczy, jakby w obawie, żebym nie zadrasnął tego nowego uczucia, z którym się przede mną zdradził.

Żwir skrzypi pod nogami i połyskują w nim muszle. Galaretowate meduzy rozlane na żwirze widokiem swojej bolesnej niemocy krzyczą o tym, że należą, lub należały także do życia, które z nich zadrwiło. Jakiś kaprys fali, jakiś przypadek nieprzeczuwalny i oto życie przechodzi do porządku dziennego tak samo nad rozkładającą się na ostrym piasku meduzą, jak i nad żołnierzem, którego pochłonęła fala wojny.

W pół roku po tej rozmowie dwusilnikowy samolot wjechał z dobrej wysokości w ziemię. Stanął na ziemi angielskiej mały, skromny krzyż z napisem: "Kapitan Tadeusz Stefanicki. Poległ śmiercią lotnika."

Wyobrażam sobie, że gdyby zabity mógł powstać na krótko z grobu, zakpiłby sam ze siebie i ze swojego pogrzebu. Największą bowiem radością w jego życiu były kpiny, nie uznające żadnej zasługi, ni świętości. Jeden jedyny wyłom w tym, jedyna niekonsekwencja podczas osiemnastu lat mojej z nim znajomości, nastąpiła właśnie wtedy tam, gdyśmy szli żwirem pomiędzy meduzami i łupinami muszli, przerwą pomiędzy jednym życiem skończonym a drugim jeszcze niezaczętym.

* * *

Przechodząc przez ciemny i zbombardowany Liverpool, tak ciemny, że aż dziki i okropny w swym zaprzeczeniu piękności życia, zostałem zaczepiony przez podpite indywiduum w zaszmelcowanym ubraniu.

—Ej panie Polak! Ja też jestem z Polski. Chodź bracie na jednego drinka.

Spojrzałem uważniej. Brat kołysał się na nogach, ale miał gębę dość uczciwą. Była to jedna z twarzy ciężko pracującego człowieka, który złapał trochę luzu w pracy. Poczułem do niego sympatię. Może za tę twarz zrytą troskami, może za te ręce szorstkie i grube, może za tę chropowatą polską mowę brzmiącą niespodziewanie w obcym mieście. Poszedłem na drinka.

Był palaczem z jakiegoś polskiego transportowca. Pokazywał swoje kostropate, pełne blizn ręce i bił się kułakiem w piersi, gdy chciał nadać siły przekonania swoim zdaniom. Musiałem palić jednego po drugim papierosa, którymi mnie częstował.

—Bierz pan, to mnie kosztuje grosze. — Papierosy były amerykańskie. Pasowały doskonale do atmosfery nasiąkłej dymem, do czerwonych, kołyszących się twarzy i *whisky and soda*.

Zapłaciłem i chciałem wyjść. Mój towarzysz zapałał szlachetnym oburzeniem. Musiałem dać mu możność rewanżu. Nabrał do mnie niebywałego zaufania i opowiadał o przemyślności celników, szukających kontrabandy na statku. Jak wiadomo na sposoby są sposoby inne. Dowiedziałem się o wielu pożytecznych i ciekawych kryjówkach na okręcie, które pozwalają zręcznie ukrywać papierosy. Wymienił mi kwotę w dolarach i funtach, którą ma złożoną w banku.

—Pan jest zamożnym człowiekiem.

Machnął ręką. To nic. W jego zamiarach jest mieć o wiele więcej. Wtedy wróci do Polski, kupi sobie dom i założy biuro handlu z zagranicą.

Wróci do Polski. Słowa stały się ostrożne i miękkie. Ten człowiek o duszy podobnej do krzemienia robił się nagle inny.

—Panie, takiego kraju! A taki naród! Człek poznał cholerny kawał świata. A pan myśli może — zagadnął zaczepnie — że chciałbym być Amerykaninem albo Brytyjczykiem. Nigdy! Nie ma na świecie narodu, jak nasz. A nasze miasta! Miechów — tam się urodziłem. A już nie mówię o Warszawie i Gdyni. Panie, znał pan Gdynię?

Gdynia! Bębnił palcami po stole i patrzył przez zadymiony pokój i pijackie gęby jak gdyby w przeszłość.

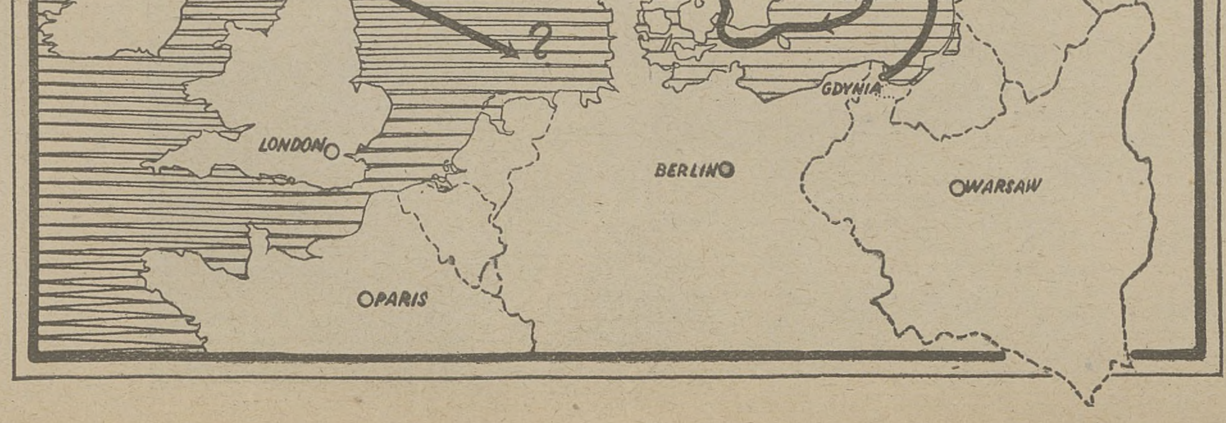
—Ten Hitler i te Niemcy to jednak mądre. Oni mieli rację, że uderzyli na nas. A jakby nie uderzyli, to Polska stałaby się tak silna, że połamaliby na niej zęby. Aż serce rosło w człowieku, gdy patrzył na naszą Gdynię, na naszą marynarkę. Po dwudziestym roku mieliśmy tylko piasek i wiatr, a jakem widział ostatni raz naszą flotę, to aż nie chciało się wierzyć, że to wszystko nasze. No i pokazaliśmy przecież Szwabom, że Polak na morzu też coś znaczy. Słyszał pan o "Orle"?

—Słyszałem.

—Hallo barman, two whiskies more.

—Za dużo, nie pijam tyle.

Rysunek z książki Petera Jordan'a: "First to fight"



Schwycił mnie za rękę.

—Musi pan wypić. Pan wie na czyją cześć będziemy pić? Na cześć komandora Grudzińskiego, co to dowodził "Orłem." Tego, co zatopił "Rio de Janeiro." Tego, co uciekł z ręki Szwabom. Leży teraz na dnie morza. Jak wrócę do Gdyni, to pierwszy dam pieniądze na jego pomnik.

—Czy pan wie, że on zginął? — zapytałem.

Podsunął mi *whisky* i nachylił się do mnie, jakby miał szeptać tajemnicę. Mówił rzeczywiście półgłosem, wybijając palcem w powietrzu potwierdzenie tej historii.

—Pan wie, "Orzeł" to był podwodny krążownik. On mógł obracać do Ameryki "w te i we wte" bez niczyjej pomocy. Otóż, jak oni tu przybyli, Anglicy ich chcieli puścić na Wschód. Ale Polacy powiedzieli, że muszą iść tam, gdzie są Niemcy. Więc posłali ich pod Norwegię. Wtedy "Orzeł" potopił tamtym draniom transporty. Morze zasiało cały brzeg Norwegii trupami Szwabów. A drugi raz to im przypadł bardzo zły sektor, bo morze było płytkie, Anglicy ich znowu nie chcieli puścić, ale Polacy powiedzieli, że muszą pójść. No i poszli. A kiedy już weleźli pod sam brzeg niemiecki, to wytropiły ich samoloty i obrzuciły bombami. "Orzeł" miał uszkodzenia i nie mógł płynąć. Wtedy przeleżeli do nocy, a w nocy wyszli na powierzchnię i natrafili na szwedzki statek. Kapitan kazał wszystkim ładować się na niego. Jak się załadowali patrzą, a dowódca został na "Orle." — "Żegnajcie chłopcy" — powiada do nich i schodzi do włazu. Stamtąd krzyknął im — "Niech żyje Polska!" — i tyle go widzieli. "Orzeł," tak jak był z otwartym włazem, poszedł pod wodę.

—A co z resztą załogi? —

—Storpedował ich niemiecki okręt wojenny.

—Niemcy Szwedów!

Popatrzył na mnie, jak naiwne dziecko. Miał zakrwawione oczy i zmęczoną twarz. Włosy lepiły się nad czołem od występującego potu.

—Wzięli ich za kogo innego. Potem wyłowili kilku rozbitków. Polacy też tam byli. Są teraz w obozie jeńców w Gdyni.

Przypomniał o nalanych kieliszkach.

—Na cześć dowódcy "Orła." Jak to głupio w życiu marynarskim — uśmiechnął się z sarkazmem — Nawet nie można powiedzieć: "Niech mu ziemia lekką będzie" — wpuścił w siebie *whisky* ruchem przyzwyczajonym i desperackim, poczym westchnął gorzko z samego dna swoich uczuć.

—"Orzeł" . . . Komandor Grudziński . . . — szeptał, jakby wypowiadał wyuczone wiersze.

—Chodźmy już — powiedziałem.

Odtrącił kieliszek raptownie.

—Dobra. Już więcej dziś nie piję. Chodźmy.

Wyszliśmy. Wiatr chłodny i wilgotny kręcił kurzem i niósł w powietrzu śmiecie z chodników. Jakieś strzępy papierów, niedopałki z papierosów, zużyte bilety tramwajowe, ziarna piasku biły w twarz. Raptowne przejście z gorącej, dymnej atmosfery baru w surową i zimną noc podziałało na mego towarzysza, jakby wypił więcej kolejek, niż wypił w rzeczywistości. Zatoczył się na miękkich nogach, złapał kogoś w pół, wybełkotał: "*I am sorry.*" Długo szukał mojej ręki. Gdy ją znalazł, trząsł nią szczerze, bratersko i ściskał z całej duszy.

—A jakby pan potrzebował papierosów albo *whisky*, to proszę tylko szepnąć słówko. Czy pan pamięta mój adres? . . . Dobrze. Więc do zobaczenia.

Gdy zacząłem stawiać kroki w kierunku swojej kwatery, usłyszałem wraz z podmuchami wiatru słowa piosenki, nuconej pijacką modulacją "piosenki," która stała się dla wielu życiowym credo.

"Morze, nasze morze
Będziem ciebie wiernie strzec,
Mamy rozkaz cię utrzymać
Albo na dnie twoim lec."

STEFAN ŁASZKIEWICZ

* Por. część pierwszą: "Gdynia," druk. w nr. 22 "Polski Walczącej" z b.r.

Wspomnienia z oblężonego Tobruku

IV.*

Noce stawały się coraz chłodniejsze i za dnia słońce nie prażyło już tak silnie, jak przedtem. Na błękitnym niebie ukazywały się teraz nierzadko ciężkie ołowiane chmury a wiatry pustynne bywały chłodne i przenikliwe. Zaczęła się jesień, smutna, naga, afrykańska — bez kolorowych, zwiędłych liści, bez ptaków odlatujących daleko i bez owiec powracających stadami do zagród. Pustynna jesień nie niesie ludziom ukojenia i ciszy, nie ma w sobie powagi i majestatu, w który przyodziewa się polska przyroda gotując się do zimowego spoczynku.

Tak tu pusto . . . A gdy przyjdą gwałtowne wichury jesienne, miotające piaskiem, gdy niebo się zachmurzy, trudno się wtedy oprzeć uczuciu osamotnienia, opuszczenia i bezbrzeżnego smutku.

Rozstanie się z Józiem pozostawiło po sobie trwały ślad — przytępiony ból zepchnięty na dno świadomości. Dziwna obojętność wobec wypadku okazała się tylko czasowym znieczuleniem, naturalną reakcją psychiki broniącej się przed nadmiarem cierpienia. Odczuwałem brak Józia coraz silniej. Z innymi kolegami nie potrafiłem się zżyć. Nie miałem wielkiej ochoty do zwierzeń, lub długich dyskusji, które przedtem skracały mi dłużący się czas.

W wolnych chwilach oddawałem się czytaniu Pisma Świętego. Ma ono w sobie olbrzymią siłę. Potrzeba mi było takiej pomocy z zewnątrz, szczególniej, że przeżywałem wówczas coś, co można by nazwać kuszeniem szatana. Mówi św. Łukasz o niemym demonie, który opętał pewnego człowieka. Miewałem wrażenie, że niemy demon w chwilach osamotnienia zbliża się do mnie, przekonuje mnie i rozbudza we mnie uczucia, które są przeciwko wierze w Boga i Ojczyznę. Ów niemy demon /bo nie przemawiał do mnie, ani go nie widziałem/ podsuwał mi natrętne myśli, pełne zwątpienia o prawdzie Najwyższej Miłości, a słuszności naszej sprawy. Nasuwały mi się na myśl pozornie prawdziwe przekonania o panowaniu przeznaczenia nad światem lub o wielkorządztwie szatana.

W kilka dni po odwiezieniu Józia do szpitala wyruszyliśmy wieczorem na wyprawę całym plutonem. Zadaniem naszym było ostrzelać drogę Bardia — Derna, którą Włosi dowozili nocami amunicję i beton do budowy umocnień. Chodziło o to, by im nagle zrobić niespodziankę i w najbardziej nieoczekiwanym dla nich momencie zaskoczyć ich dalekim ogniem karabinów maszynowych, czyli "dać im ducha," jak mawiał "Mały Kapitan," dowódca naszej kompanii. Wyjechaliśmy zaraz po zapadnięciu zmroku. Niebo było chmurne i nie widać było księżyca. Przedostawała się przez chmury tylko mdława poświata miesięczna i rozświetlała drogę samochodom z żołnierzami.

Droga wiodła przez szosę pełną lejów od pocisków armatnich. Co chwila doznawaliśmy gwałtownych wstrząsów i sprzęt podskakiwał na parę cali w górę. Trzeba było mocno się trzymać, żeby nie wylecieć i trzeba było bardzo uważać, żeby czego nie zgubić. Po kwadransie takiej jazdy zjechaliśmy w bok. Wyboje i dziury utrudniały posuwanie się jeszcze bardziej, niż poprzednio. Droga pogorszyła się a równocześnie zwiększyło się niebezpieczeństwo wjechania na minę. Pierwszy wóz jechał powoli.

Porucznik, dowódca plutonu wyszedł z samochodu i idąc przed kolumną wypatrywał, czy czasem nie ma min na drodze. Nie odstraszało go to wcale, że jeśli by nieopatrznie wszedł na zasadzkę, pierwszy wyleciałby w powietrze. Wiedział on o tym dobrze. Zrozumiał wtedy w pełni treść powiedzenia: "jeden za wszystkich, wszyscy za jednego." Mimo, iż przeważnie nie lubiłem swoich przełożonych, tym razem dowódca plutonu pozyskał mój szacunek i sympatię. Zresztą nie tylko u mnie takie postępowanie to najlepsza droga do serca podwładnych żołnierzy. Wiedział o tym Napoleon, kiedy sam biegł pierwszy prowadząc natarcie na most pod Arcole . . . Śmiałym szczęście sprzyja. Porucznikowi naszemu nic się nie stało i bez żadnych przygód dojechaliśmy do miejsca przeznaczenia.



Na ulicach Tobruku

Samochody zostały w wąwozie, a my powędrowaliśmy kamienistą ścieżką do wylotu piasczystej kotliny. Po drodze minęliśmy stanowiska artylerii przeciwpancernej. Na zboczach kotliny widniały rozbite, opustoszałe schrony.

Dowódca plutonu ze swoim zastępcą przygotowywali na miejscu plan ogniowy i sprawdzali stanowiska. Wkrótce wszystko było gotowe. Z "tamtej strony" dochodził przyciszony gwar. To betoniarki pod osłoną nocy pracowały nad budową umocnień i silniki samochodów pracowały blisko szosy. Głosy te można było łatwo rozróżnić, bo wiatr wiał w naszą stronę. Chociaż wszystko było gotowe, czekaliśmy prawie całą godzinę na rozpoczęcie ognia.

Około północy padł rozkaz: Ognia! Na całym odcinku frontu tylko nasz pluton strzelał, bo wokół panowała zupełna cisza. Nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że obudzimy artylerię albo moździerze. Kiedy wszystkie nasze karabiny wystrzelały po taśmie, artyleria nieprzyjacielska obudziła się i zaczęła nas po omacku szukać w ciemności. Później Włosi puścili parę rakiet. Jednak stanowiska były tak dobrze zamaskowane, że nikt nie byłby ich w stanie z daleka zauważyć. Artyleria pomacała wzgórze, górną część wąwozu i zapadła w głęboki sen. Podobnie opędza się człowiek we śnie przed natrętną muchą.

Puściliśmy znowu trochę pocisków w stronę szosy, lecz już w połowie taśmy przerwano nam. Pociski włoskiej artylerii padały bardzo blisko. Tak blisko, że trzeba było "zwijać cały interes" i przenosić się na stanowiska zapasowe. Kanonada trwała parę minut i znów wszystko ucichło.

Dokończyliśmy już zaczęte taśmy z nowych zapasowych stanowisk. Artyleria ponownie starała się nas przyciszyć, lecz bezskutecznie. Kilkakrotnie zmienialiśmy stanowiska i kilkakrotnie włoska artyleria starała się nas wykryć. Taka zabawa trwała aż do świtu. Jaki był efekt naszej strzelaniny, trudno powiedzieć. Wystrzelaliśmy po 6 taśm na karabin z wyjątkiem jednego, który się nieuleczalnie zepsuł.

Rano schroniliśmy się wraz ze sprzętem w głębokich, zacisznych grotach wąwozu. Cały dzień zszedł nam na siedzeniu w pieczarze i przygotowaniu sprzętu na wieczorne występy. W grocie było bardzo miło i spokojnie. W takim miejscu łatwo zapomnieć, że na świecie toczy się wojna. W nocy znowu bawiliśmy się "w ciuciubabkę" z artylerią włoską.

W ten sposób spędziliśmy cały tydzień. Poza czyszczeniem sprzętu i spaniem we dnie było nieco wolnego czasu. Pisałem pamiętnik i czytałem. Ponieważ życie na froncie jest bardzo monotonne, bywały dni, że napisałem datę na kartce pamiętnika i nie wiedziałem, czym wypełnić pustą przestrzeń. Często pisałem dwa słowa: "jak zwykle," albo "bez zmian." Coraz częściej ogarniała mnie jałowa bezmyślność. Pragnąłem zmiany. Jakiegokolwiek rodzaju zmiany.

Czytałem stale Pismo Święte, by się przed napadami bezmyślnego smutku obronić. Znajdowałem w obrazach biblijnych rozrywkę i ucieczkę od monotonnej i niezbyt radosnej rzeczywistości. Kilkanaście razy z rzędu czytałem w tym czasie "Księgę Ruth." Nie mogłem się od niej oderwać. Wyobraźnia prawie gorączkowa, rozbudzona pustką okolicy ukazywała mi zielone gaje oliwne w ziemi Moab, drogę górzystą mijającą wioski i mieściny, daleką drogę, co wiodła Ruth — Moabitkę do ojczyzny przybranej matki . . . A potem śliczne, kolorowe obrazy żniw . . . Słowa księgi pachniały wsią w czas jesieni i zbiorów. Całe lato ludzie pracują i nie mają czasu, by myśleć. Na jesień gdy zbliża się bezpłodny okres ziemi, ludzie przygotowują sobie zapasy i namyślają się nad tym, co robić, by jak najlepiej przetrwać do następnych zbiorów. A gdy się myśli o troskach powszednich tak łatwo popaść w zamyślenie.

Przyszła z dalekiej ziemi Ruth Moabitka, za świekrą swoją, ufna, że Pan Zastępów ma ją w swojej opiece. Przyjął ją do siebie Booz, sprawiedliwy i dobry . . . Księga . . . księga prastara jak pieśń o łanach zboża, o chlebie, o wsi, o miłości ufnej i pokornej, o przywiązaniu człowieka do rodziny, o błogosławionych uczuciach w sercu ludzkim, o litości, o osamotnieniu, o żalu i słowach pełnych pocieszenia.

Jakiż ogromny kontrast między uczuciami, które budziła ta księga a rzeczywistością. Pismo św. jest księgą żywota. Księgą życia. Znajdują się w nim opisy zażartych walk i potwornych mordów, opowiadania o ucisku i powstaniach przeciw uciskowi. Są tam pieśni natchnione, są wiersze o miłości. Właśnie teraz na pustyni, na froncie, najbardziej odpowiadało mi czytanie "Księgi Ruth" i "Pieśni nad pieśniami." Księga Mądrości wydawała mi się tutaj nieaktualna i bezużyteczna. Na cóż się bowiem przyda mądrość Eklezjasty, kiedy tu trzeba kierować się raczej instynktem i mieć spryt zwierzęcy.

"Księga Ruth" i "Pieśń nad pieśniami" były dla mnie symbolem tego, co zostało daleko za morzem, za siecią granic, za górami i za lasami. Bo przecież "teraz u nas we wsi żniwa," a w "Księdze Ruth" o żniwach mowa. U nas też chodzą biedni ludzie zbierać pozostawione na ściernisku kłosy. A "Pieśń nad pieśniami" niedokończoną zagłuszyły wybuchy pocisków, zadusił warkot motorów, zdławił huk okutych butów bijących o bruk. Jeno po nocach kiedy przychodzą senne zjawy, wargi przez sen szepcą słowa z "Pieśni nad pieśniami": "O jakaś ty piękna, przyjaciółko moja . . ." Ale zjawy nie powracają nigdy, jak nie powraca przeszłość.

Czytałem Biblię w pieczarze wąwozu, siedząc na skrzynce od amunicji. Chwilami zapominałem, gdzie jestem. A obok koledzy grali w karty z wielkim zainteresowaniem, bo gra szła o wysoką stawkę. Nie było to ani ich ani moją winą, że nie mogliśmy się zżyć.

Po tygodniu powróciliśmy na poprzednie miejsce postoju. Wreszcie zaszła oczekiwana zmiana. Miano wysłać po kilku z każdego plutonu na wzmocnienie pewnych punktów obrony w batalionie piechoty. Ochotnicy /bo tym razem brano na ochotnika/ przeznaczeni byli do obsługi zdobycznych karabinów maszynowych. Na wieść o tym poszedłem zaraz do mego dowódcy plutonu. W parę dni po rozmowie z porucznikiem zabrałem swoje graty i wraz z kilkoma kolegami pojechałem samochodem na nowe stanowisko. Przybyliśmy na miejsce akurat w czasie rozdzielania żywności i amunicji na punkcie rozdzielczym.

Od tego miejsca trzeba było iść pieszo. Rzeczy położyliśmy na dwukołowy ręczny wózek, którym transportowano prowiant i amunicję do okopów. Wózek ten miał bardzo wysokie koła i tę wadę, że ciężko było go pchać. Zaletą natomiast jego było to, że nie posiadał motoru, który swoim warkotem mógłby zwrócić na siebie uwagę wroga. Pchaliśmy na zmianę z kolegami ten niewygodny wehikuł po jeszcze bardziej niewygodnej ścieżce. Ścieżkę wytyczały dwie zielonawe szarfy rzucone poprzez pole minowe i miejscami przymocowane do puszek od benzyny lub kawałków blachy.

W okopach pod Tobrukiem



Wokół rozciągały się pola minowe. Należy bowiem pamiętać, że obrona tej twierdzy polegała na gęstej sieci pól minowych. Cały prawie obszar fortecy był zaminowany. Przed zajęciem Tobruku przez Anglików minowali tu teren Włosi i Niemcy, a gdy przyszły oddziały brytyjskie poprzedni gospodarze nie pozostawili żadnych planów. Zresztą w pustyni niełatwo narysować plan i zaznaczyć gdzie się znajdują miny. Posługiwanie się bowiem mapami, szkicami i planami polega na porównywaniu widocznych punktów terenowych z innymi. A skąd tu wziąć w pustyni wybitne punkty terenowe? Natomiast wszelkie tyczki, trójnogi czy inne pomocnicze środki mają tę wadę, że mogą być wykorzystane przez nieprzyjaciela.*

Skoro burza piaskowa pokryła szarfy i poprzewracała lub pozasypywała puszki od benzyny, nawet ludzie najbardziej obeznani z terenem stracili orientację. Stąd też wiele było wypadków wdepnięcia lub wjechania na minę. Mnóstwo ludzi w ten sposób utraciło życie i wielu doznało ciężkich ran i okaleczeń. Miny powodowały, że patrole musiały się posuwać bardzo wolno wyszukując w nocy miny po omacku, a samochody transportowe stale narażone były na niebezpieczeństwo.

Na nowym miejscu postoju wyznaczono mi schron ze strzelnicą. Miałem jeszcze jednego kolegę, z którym na zmianę obsługiwaliśmy karabin. W schronie znajdowały się jeszcze dwa zdobyczne karabiny i dużo amunicji. Ale to miało służyć dopiero na wszelki wypadek. Nasi nowi sąsiedzi objaśnili nas, że jest to jedno z "najgorętszych miejsc na tym odcinku frontu." Na drugi dzień mieliśmy okazję przekonać się o tym.

Już o świcie zaczęła się kanonada. Niemcy /ten odcinek zajmowali Niemcy/ byli świetnie wstrzelani we wszystkie umocnienia po naszej stronie. Na szczęście te umocnienia były rzeczywiście mocne i wytrzymywały nawet pociski ciężkiej artylerii. Był to najgorętszy, a zarazem najlepiej ufortyfikowany odcinek frontu. W betonowym schronie detonacje pocisków i terkotanie naszego cekaemu odbijało się huczącym echem. Po prostu głowa pękała od tego hałasu. Znalazłem radę i na to. Naciągnąłem sobie podkładkę od hełmu na uszy i otworzyłem usta. Tego sposobu nauczył mnie pewien stary praktyk z wojny światowej.

Po południu niemieccy artylerzyści odpoczywali. W tym czasie zmieniliśmy lufę i wyczyścili naszą "kozę" /takiego określenia używał nasz szef/. Pasza dla niej już była przygotowana w blaszanych skrzynkach. Co pewien czas od ściany schronu odbijały się kule z cekaemu nieprzyjacielskiego, górą lub bokiem świstały charakterystycznym głosem pociski moździerza. Do tego dołączały często działka szybkostrzelne, których Niemcy i Włosi używali przeciw piechocie, jakkolwiek ich zasadniczym przeznaczeniem było zwalczanie pojazdów pancernych i obrona przeciwlotnicza.

Wieczór, mniej więcej około godziny siódmej, wszystko się uciszyło i ten stan pozornego zawieszenia broni trwał do jedenastej. Ustalił się bowiem na tym odcinku taki zwyczaj, by raczej nie strzelać między 7 — 11 wieczór. Dzięki temu można było spokojnie dowieźć żywność i amunicję. Czasami oczywiście nie stosowano się do tych zasad. Przeważnie jednak między 7 — 11 nie strzelano.

BOGUMIŁ ANDRZEJEWSKI

---

* Por. nr. 16-17, 18 i 19 "Polski Walczącej" z b.r.

* Kiedy żołnierze polscy brali udział w walkach pustynnych nie stosowano jeszcze wynalezionego przez Polaków wykrywacza min, który później walnie się przyczynił do zwycięstwa 8-ej armii brytyjskiej /przyp. autora/.

SKRZYDŁA NAD ŚWIATEM



1.

*Słyszysz, jak błękit jęczy
i jak powietrze drży —
to rwie po mostach z tęczy
eskadra 303.*

*Przepada w mgłach — i wraca,
metalem w słońcu skrzy,
rozsrebrza się, rozzłaca —
eskadra 303.*

*I wali w blask, gdzie złotem
słoneczny opar mży,
oślepiającym lotem,
eskadra — 303 . . .*

2.

*Noc w noc nas ze snu budzi motorów waszych grzmot,
biegniemy do ogrodu patrzeć w bezdenne niebo,
w tę stronę, gdzie grzechotem przewala się wasz lot,
huczący, jak kamienie w gardłach tatrzańskich żlebów.*

*Czasem na chwilę gwiazdę zakryje jeden z was,
czasem przez blady księżyc przesunie się cień
skrzydła —
i znów powraca cisza: wiemy, że jeszcze raz
zastawia na was Zguba swoje pajęcze sidła.*

*Minuta po minucie opada w mgłę, jak ołów —
gdzie wy jesteście teraz, nad zjawą jakich miast?
Co grozi wam w tej chwili — gniew ludzi, czy
żywiołów —
wam, duchom zabłąkanym wśród pękających gwiazd?*

*Co się tam dołem ściele — kurzawa sennych dymów,
czy szachownica pól, czy smugi czarnych rzek?
Kto pisze tam, na niebie, serię iskrzących rymów?
Kto między was, wirażem, zza chmur jak jastrząb
wbiegł?*

*Nie ma was wciąż i nie ma, i czarna noc się dłuży,
aż wreszcie głuchy grzechot oznajmia, że to wy —
Czyście wrócili wszyscy? I co wam los wywróżył,
husarski regimencie, eskadro 303?*

3.

*Chrystus Wawelski, z lewej nawy w głębi
patrzy na długi korowód poległych —
anioły Boże, jak stada gołębi,
nieść ich gotowe, na Wawel się zbiegły —*

*a oni idą, bezszelestne duchy,
przez próg wawelski ku lotniskom śmierci,
groby coś szepcą, szeptem szarym, głuchym,
Chrystus się schylił ze śmiertelnej żerdzi —*

*anioły Boże na gzymsach, na wieżach
poblaskiem skrzydeł rozsrebrzyły wszystko —
wrota katedry otwarte na ścieżaj — —
— a kraj wokoło, jak pobojowisko . . .*

4.

*Chryste, czarną nocą objęty — błogosław,
zwól, by nasza siła
na Grunwaldzkich mogiłach
wyrosła.*

*Chryste Potęgi
zwól
kamieniem z Twojej Ręki
ugodzić w czoło Goliata.*

*Otucho Świata,
Sędzio i Panie —
Ty nam będziesz hetmanił,
Ty nam będziesz dowodził
w tym krzyżowym pochodzie,
w tych zmaganiach i bojach —*

*bo nie ludzka to wojna
a TWOJA —*

*— o Imię Twoje, o Królestwo Twoje,
o Wolę Twoją na niebie i ziemi,
o chleb powszedni dla ciała i ducha—*

*Chryste — wysłuchaj,
NA POKUSZENIE ZEMSTY NAS NIE WÓDŹ,
drapieżnych bestii w nas nie budź,
i zbaw ode złego,
nas, na tę wojnę nie — ludzką,*

*a Twoją
idących . . .*

5.

*Błogosław, Panie,
pęd maszyn
i tętno rwące
serc naszych.*

*Błogosław, Panie
tę przestrzeń
i skrzydła, kładzione
na wietrze —*

*i dolę naszą błogosław
na służbę twardą i prostą.*

6.

*Nie czarne sępy my i nie mściciele,
i nie keryksy z upiornej kwadrygi —
blaskiem płoniemy, jak świece w kościele,
i ziejem ogniem w oczy czarnej strzygi,
wyroki Twoje dźwigamy aż w błękit
i w czarne szańce piorunami walim,
my, osłonięci znakiem Twojej Męki
i Twej Korony cierniami zuchwali.*

7.

*O zachodzącym słońcu
w cieniu skrzydeł maszyny
usiąść i marzyć — —
my — wszyscy tacy sami,
i w oczach to samo,
i w twarzy.*

*Na podtoczonej torpedzie
położyć rękę
i marzyć —
kędy nas los powiedzie
o zmroku,
zza pierzastych obłoków,
zza mgły —*

*a może tam,
gdzie nie był jeszcze żaden —
na Berchtesgaden?*

*Na zimnej bombie
położyć gorącą dłoń . . .*

8.

*Motor sprawdzony i torpeda leży,
auto-cysterna przed maszyną stoi —
zwólże mi, Panie, bym jak święty Jerzy
zadźgał potwora ciosem włóczni mojej —*

*Zwólże mi, Panie, bym jak ów, na Rhodos,
plugawca zmiażdżył i dał wytchnąć światu —
a jeśli ścieżki me ku śmierci wiodą,
zwycięstwo, Panie, daj mojemu bratu,*

*daj mu się modlić, jak zawsze, jak codzień,
by, za to piekło i za otchłań męki,
ów przeklinany po wsze czasy zbrodzień
padł, poszarpany, BOMBĄ Z POLSKIEJ RĘKI.*

9.

*Zmierzyć się z piekłem, zmierzyć,
wiarą w tę łaskę żyć,
legendą o świętym Jerzym,
w błękit się wzbić . . .
O zachodzącym słońcu
w cieniu skrzydeł maszyny
usiąść i marzyć —*

*Słuchać, jak biją godziny,
patrzeć, jak słońce
nad morską chyli się toń —*

*Na zimnej bombie
gorącą położyć dłoń . . .*

10.

*Płynąć i płynąć na wahliwych skrzydłach
i przeskakiwać w pędzie chłonne piaski mroków,
czuć, jak wszystko się pręży i trzeszczy w spoidłach,
tarczowym pługiem śmigieł pruć łany obłoków —*

*Minąć szczytów Alpejskich srebrne lodozorze,
iść nad linią Rodanu jak ptak nad strumieniem,
wypaść rybitwą śmigłą nad Śródziemne Morze,
dostrzec Mare Ligure za Korsyki cieniem*

*i dopaść wreszcie tam, w sieć srebrnych smug — —
i wracać —
jak żywy bumerang —
jak wystrzelona raca . . .*

11.

*Minuta po minucie opada w mgłę, jak ołów —
mija coś w oknach chmur — zwidzenia wsi, czy miast,
a śmigła rwą i rwą te mgły, jak łan popiołów
pod deszczem mlecznych dróg i pękających gwiazd . . .*

EDWARD LIGOCKI



Zaciąg ochotników z nad rzeki Ivai

(Korespondencja własna "Polski Walczącej")

Z końcem lutego br. osady polskie położone nad rzeką Ivai po raz pierwszy gościły u siebie przedstawiciela Polski Walczącej, pułkownika Juliana M . . . , który zwiedza od jakiegoś czasu kolonie polskie w Paranie i przeprowadza zaciąg ochotników do Armii Polskiej w Szkocji. Osady nad Ivai dawno już nie przeżywały tylu wrażeń jednocześnie, bo to i pierwsza od czasu wprowadzenia nacjonalizacji urzędowa wizyta przedstawiciela Polski—i jednocześnie wyjazd na wojnę! Z jednej strony koniec zakazu zbierania się, mówienia i śpiewania po polsku, z drugiej zaś konieczność powzięcia przez niejednego decyzji — jechać czy zostać? . . . Być—albo nie być! Ale te wahania osadnik polski pod zwrotnikiem zwykł jest rozstrzygać już po brazylijsku "*com paciencia.*"

Przyjazd Pułkownika poprzedziły nad Ivai echa przyjęcia i parady, jakie mu urządził 13 pułk piechoty parańskiej w Ponta Grossa. Głosiło o tym radio z P. Grossy, to samo, które do niedawna jeszcze wielbiło "bohaterstwo" armii niemieckiej. Pisał o tym dzienniczek "*Diario dos Campos,*" ten sam, który dotychczas starał się unikać wzmianki o wojsku polskim. Usłyszeliśmy nad Ivai, że pułk 13-ty wystąpił z orkiestrą, która odegrała poprawnie "Jeszcze Polska nie zginęła," że dowódca pułku przedstawił pułkownikowi M . . . wszystkich oficerów (nawet niemieckiego pochodzenia!), że odbyło się przyjęcie w kasynie i wzniosłe mowy o braterstwie broni, następnie rewanżowy cocktail Pułkownika w hotelu, przyjęcie przez Kolonię polską i przygotowania Kolonii żydowskiej do uroczystego przyjęcia gościa.

Ludziska w lasach słuchali, dziwowali się, nawet i nie dowierzali. Pesymiści powiadali nawet, że "skoro tam naszego Pułkownika tak fetują w tej siedzibie 5-ej kolumny, to gotów do nas w te krzaki wcale nie przyjechać . . ."

Tym przypuszczeniom sprzyjały codzienne ulewy, które przerwały komunikację. Siostry polskie w parafii Calmon dwa razy z rzędu pitrasiły obiad na przyjęcie gościa i ludzi z okolicy zebrało się mnóstwo — a tymczasem Pułkownik przyjechał dopiero w kilka dni później, no i trafił zaledwie na podwieczorek . . .

Do Terezyny przybył w nocy w towarzystwie obu księży z parafii Ivai a już następnego dnia o świcie najmłodszy ochotnik z Parany Zbyszek W. pędził konno do Apukarany i Morskiej Woli z zawiadomieniem o terminach zgromadzeń. Dorzecze Ivai stanęło pod znakiem mobilizacji, bo osobny goniec pędził z Terezyny do odległego o 5 mil Hervalsinho, po drugiej stronie rzeki.

Nastrój mobilizacyjny trwał już od kilku dni. Z Terezyny wyjechało przed tym dwóch ochotników do komisji lekarskiej w Kurytybie, obaj koloniści, których rodzice przed trzydziestoma z górą laty przywieźli na ręku. Z nad Ivai tylko ci jeszcze mogą liczyć na przyjęcie do wojska polskiego, którzy Polski już nie pamiętają, bo kto pamięta jeszcze Stary Kraj, ten i sam jest za stary do wojska.

Z Terezyny wyruszyliśmy na zachód wozem z budą brezentową od deszczu i od tej chwili ten wóz cygański reprezentował niejako ruchomą kwaterę główną Pułkownika w objeździe werbunkowym. Nie można twierdzić, by ta "kwatera" grzeszyła zbytnią wygodą albo szybkością ruchu . . . Na szczęście przy drodze wiodącej do White Westu parańskiego mieszkają rodacy słynący ze staropolskiej gościnności. Na Tres Bicos u pp. Pogorzelskich spaliśmy pierwszej nocy w tym samym pokoju, w którym w 1933-cim zamieszkał dzisiejszy Prezydent Rzeczypospolitej w czasie swej podróży nad Ivai.

Z każdym dniem podróży oddalamy się od cywilizacji. Oto już 180-ty kilometr od najbliższej stacji kolejowej. Po lewej stronie drogi z rzadka czernieją w zaroślach szałasy indyjskie, po prawej zaś bieleją stosunkowo nowe domy osadników sprowadzonych przez Ligę Morską.

Pokazuję Pułkownikowi cmentarz Kaingansów, znany mi od kilkunastu lat. Omijamy uważnie z proboszczem zapadnięte wśród trawy mogiłki. Są to już lochy otwarte, bo wierzchnia pokrywa z faszyny opadła i na dnie bieleją kości Indian grzebanych w pozycji siedzącej w kuczki. Zajmująca gawęda na temat zwyczajów i wierzeń tubylców parańskich.

Ale oto niedaleko już sklep p. Kubistego, b. lotnika z Polski i rekordzisty sportowego w Paranie. Przed sklepem oczekuje przybycia Pułkownika gromada osadników z Morskiej Woli—widać z tego, że goniec spełnił swe zadanie. Po przepłukaniu gardła z podróży idziemy gromadą do lokalu towarzystwa położonego na pięknym wzniesieniu.

Na sali przeważają osadnicy przybyli niedawno przed tą wojną z Polski. Kiedy Pułkownik wyraża słowa pozdrowienia od Naczelnego Wodza przerywa mu gromki okrzyk: niech żyje! Ale po tym zaczyna się interesująca rozmowa, która miejscami przybiera ton dyskusji wiecowych. Widać, że to chłopi niedawno przybyli z Kraju, obyci wiecowo i wygadani. Czy nowa Polska będzie "naprawdę" demokratyczna, czy nie powtórzą się rządy klik, nadużycia etc? . . . Niektórzy spodziewali się zaskoczyć Pułkownika interpelacjami. Ku ogólnemu zadowoleniu wszystko poszło jak z płatka.

Nowa Polska—powiedział Pułkownik—będzie taka, jaką odbudują i wywalczą sami Polacy, i ci co stąd pójdą i stamtąd! Ktoś usiłuje sugerować Pułkownikowi, że interpelanci—to komuniści . . . ale my wszyscy wiemy, że to co szczerze wypowiedzieli, było głosem szerokich warstw ludowych w Polsce.

To też w najlepszym nastroju, po odśpiewaniu "Roty" udajemy się znów całą gromadą do sklepu p. Kubistego, razem z proboszczem na wieczerzę a potem do późnej nocy trwają z całą gromadą "ciche rodaków rozmowy" o wojnie i o wyczynach żołnierzy polskich. Nazajutrz rano zgłaszają się ochotnicy. Niewielu, ale zawsze kilku najodważniejszych.

Powracamy tą samą drogą i tym razem po prawej stronie mamy federalny posterunek opieki nad Indianami (*Posto indigena*) oraz szkółkę dla Indian. Niestety, jak na złość, w szkole ani jednego Indianina, natomiast z daleka bieleją lniane czupryny dzieci polskich. Szef posterunku Indian W. Gradowski z Kurytyby promienieje zadowoleniem z powodu wizyty i po doskonałej czarnej kawie robi na pamiątkę zdjęcie. Ciekawe zdjęcie: polski oficer sztabowy, polskie dzieci w indyjskiej szkole i opiekun Indian z ramienia rządu brazylijskiego—też polskiego pochodzenia!

Indian spotykamy dopiero po drodze. Tegoż dnia wieczorem mamy zebranie w dużej szkole dawnego towarzystwa polskiego w Apukaranie. Mało tu wprawdzie osadników z Polski w wieku wojskowym, ale i ci co są, przez sąsiedztwo z Niemcami zatruci jadem 5-ej kolumny. Patriotyzm pozostał tylko u starych. Na ochotnika zgłasza się tylko nauczyciel stanowy, już z drugiego pokolenia—tradycje dziada powstańca i katorżnika, krew polska co nigdy nie zawodzi. Miejscowi starzy narzekają na młodszych, że skapcanieli.

Ano, nic to, bo mamy jeszcze przed sobą wyjazd do kolonii Hervalsinho, gdzie kolonia polska jest liczna i świeci przykładami swego przywiązania do ojczystych tradycji.

WŁADYSŁAW WÓJCIK

Rodzina Putoniów z Porto Alegre /Brazylia/. Sześciu synów Antoniego Putonia zgłosiło się ochotniczo do Wojska Polskiego



Czwarte powstanie

Rozkaz do rozpoczęcia akcji dostałem w Zabrzu 2-go maja wieczorem. Rozkaz, na który czekaliśmy tak długo . . . Z bijącym sercem wsiadłem do pociągu i odjechałem do swego oddziału, pod Głogówek.

Wszyscy byli na miejscu. Tylko nasz gospodarz pojechał do Grotkowic w jakiejś sprawie gospodarczej i miał wrócić dopiero nazajutrz. To mnie trochę zmieszało: nie byłem pewien, gdzie w stodole został zakopany materiał wybuchowy i amunicja, bo nie było mnie przy tym. Ale syn gospodarza, Franek, powiedział, że wie. Poszli tam z Pielokiem i po godzinie skrzynka z ekrazytem znalazła się w izbie.

Rozdzieliłem amunicję; zapakowaliśmy ekrazyt w paczki, przygotowaliśmy odcinki lontu potrzebnej długości, sprawdziliśmy spłonki.

Gospodyni grzała dla nas kawę, ułożywszy do snu młodsze dzieci. Milczała i wzdychała ciężko, bardzo przejęta i strapiona. Nie pytała o nic, jakkolwiek musiała wiedzieć, że oto nadeszła chwila decydująca. Że nasz pobyt u niej dobiegł końca. Że teraz, po wyniku plebiscytu, który — jak to było do przewidzenia, wypadł na niekorzyść Polski w tym najodleglejszym krańcu Górnego Śląska, pod Nyssą — że teraz nastąpi coś, co zadecyduje o całej przyszłości tej ziemi. O losach jej samej, męża i dzieci . . .

Nie miała nadziei:

—Tu, o czterdzieści kilometrów na zachód od Odry? . . .

Tu była stracona placówka. Tu przyjdą Niemcy . . .

Milczała, gdy żegnaliśmy się z nią, dziękując za wszystko. Popatrzyła mi w oczy:

—Wrócą tu ku nam kiedy? — zapytała.

Powiedziałem, że wrócimy z wojskiem i pobijemy Niemców, nie bardzo w to wierząc. Myślę, że i ona w to nie uwierzyła . . .

—Niech Bóg prowadzi.

Poszliśmy.

Noc była ciemna. Mżył deszcz. Prowadziłem moich trzech ludzi na przełaj, polami, najkrótszą drogą. Znałem tę drogę dobrze, a każdy z nich znał ją także. Po to przecież spędziliśmy tu sześć, czy siedem tygodni, aby trafić nawet po omacku, gdy przyjdzie chwila. A jednak w połowie drogi wydało mi się, że zabłądziłem.

Przystanęliśmy zdyszani. Spojrzałem na zegarek przy świetle elektrycznej latarki, starannie osłoniętej płaszczem. Było dwadzieścia minut po pierwszej. O drugiej miał nastąpić wybuch.

Niepewnie ruszyłem naprzód, pod górę. Wydała mi się bardziej stroma, niż dawniej. Świeżo zorana ziemia, rozmokła na deszczu, lepiła się do butów. Raz po raz ktoś z nas potykał się w bruzdach.

Bez tchu dotarliśmy do grzbietu wzniesienia. Tu powinny zaczynać się zarośla dokoła brzóz przy granicznym kamieniu. Nie było ich . . . Na chybił trafił poszliśmy w lewo, choć Motocz mówił, że właśnie trzeba iść w prawo. Już chciałem zawrócić, gdy w dole, daleko przed nami błysnęły światła: stacja kolejowa!

Przybyło nam sił. Obeszliśmy z daleka cegielnię, przecięliśmy szosę i przez dworskie oziminy brnęliśmy wzdłuż toru kolejowego ku wiaduktowi.

Wtem głośny huk wstrząsnął powietrzem. Stanęliśmy jak wryci.

—Most na rzyce po-szedł! — powiedział Pielok.

Spojrzałem na zegarek. Była punkt druga. Od strony miasta słychać było alarm. W Głogówku zaczął bić dzwon kościelny. Przed nami na szosie przemknął samochód, rycząc klaksonem.

Pobiegliśmy co sił. Od zachodu raz po raz dochodził grzmot dalekich wybuchów. Zanim przypadliśmy do skrzyżowania toru z szosą, naliczyłem ich z pięć. Mosty na Nyssie i na Odrze, tory kolejowe, wiadukty wylatywały w powietrze jeden po drugim.

Alarm wzmagał się. Przez szosę pędziły samochody. Wyczekaliśmy dogodnej chwili i skoczyliśmy w dół, pod wiadukt.

Obaj z Pielokiem zakładaliśmy przygotowane ładunki między kratownice filarów. Motocz wspiął się w górę aż do przęsła i stękając z wysiłku uzbrajał dźwigar.

—Teraz lont piorunujący.

Bandys, saper z byłej niemieckiej armii, przygryzał zębami spłonki.

—Z czuciem, Bandys, bo ci gębę ozciepnie — upominał go Pielok.

—Jeszcze aby štreka — powiedział Motocz, stając przy mnie.

Odgrzebaliśmy żwir pod wewnętrznymi szynami obu torów, na złączach. Założyliśmy żółte cegiełki ekrazytu, przewinięte białym lontem piorunującym.

—Spłonki i Bickford!

—Nie za krótko go ucinać — mruknął Bandys — bo tu będzie pieroński trommel . . .

Z daleka, od strony Opola słychać było pociąg. Nad naszymi głowami znów zadudnił samochód. Przeczekaliśmy, ściskając w garściach pistolety gotowe do strzału. Potem Pielok ostrożnie zapalił papieros i przytknął jego rozżarzony koniec do rdzenia lontu Bickforda. Zasyczały iskierki.

—*Rückwerts*! — powiedział Pielok.

Wdrapaliśmy się po stromym stoku wykopu, przebiegliśmy ze sto metrów i zapadliśmy w mokrą ozíminę za szosą.

Pociąg z Opola zbliżał się. Liczyłem sekundy. Serce waliło mi w piersi, podchodziło do gardła, dusiło.

Po upływie minuty wybuch jeszcze nie nastąpił. Tylko pociąg dudnił coraz bliżej i biły dzwony we wszystkich okolicznych kościołach. Myśli przelatywały mi przez głowę jak huragan:

—Lont zgasł! Spłonka źle założona! Dróżnik kolejowy odkrył zamach na torach!

Minęło jeszcze piętnaście sekund. Pociąg sapał na zakręcie o stopięćdziesiąt metrów przed wiaduktem. Dwa motocykle, jeden za drugim śmignęły po szosie w kierunku Nyssy . . .

—Coś jest nie w porządku — powiedziałem do Pieloka. — Pójdę zobaczyć. Kto idzie ze mną?

Pielok ścisnął mnie za ramię. W tej samej chwili ziemia drgnęła, potężny huk targnął nocą, coś z wyciem przeleciało mi nad głową i grzmot walących się przęseł zadygotał w wykopie, a zaraz po nim ze szczękiem, zgrzytem i trzaskiem runęła z szyn lawina towarowych wagonów pociągu.

Było czternaście minut po drugiej . . .

W dwadzieścia cztery godziny później, po 90-kilometrowym marszu, dotarliśmy pod Wielkie Strzelce na miejsce zbiórki oddziałów destrukcyjnych. Trzecie powstanie na Górnym Śląsku zaczęło się. 16 mostów, węzłów kolejowych i wiaduktów wyleciało w powietrze między godziną drugą a drugą minut czternaście w nocy z drugiego na trzeci maja 1921 r., odcinając wojska niemieckie od tej części terytorium śląskiego, której dowództwo powstańcze postanowiło bronić.

Po tamtej stronie zostali jednak Polacy. Zostali między innymi ci, którzy świadomie narazili się na zemstę Niemców za udzieloną nam pomoc. Został nasz gospodarz, jego żona i pięcioro dzieci . . .

O ich losie dowiedziałem się dopiero po zawieszeniu broni. Niemcy — jak Niemcy — katowali ich nieludzko, zarówno dzieciarnię, jak oboje dorosłych. Tylko on przetrzymał to wszystko. Całą rodzinę zamęczyli mu na śmierć.

Ale gdy skrwawionego, mdlejącego z bólu zapytał drwiąco niemiecki oprawca, czy jest jeszcze Polakiem, chłop zza Odry odpowiedział hardo:

—Jo. Jo jest Polok i gdzie tu noga postawię, jest ziemio polska.

Dziś ten chłop śląski staje się symbolem całej Polski. Bo i dziś gubernator Franck, czy inny psubrat dostaje od każdego Polaka taką odpowiedź. A jutro — jutro pęknie władza niemiecka nad Polską. Czwarte powstanie obejmie całą Polskę ze Śląskiem na czele.

PORUCZNIK HERBERT

Każdy żołnierz Polskich Sił Zbrojnych w Wielkiej Brytanii jedną książkę—dla żołnierzy Armii Polskiej na Wschodzie

Dotychczasowa suma zbiórki wynosi 1412 książek

Bez black-outu

Ameryka mówi do Europy. Codziennie radio na różnych falach przynosi głos Nowego Świata. W ten głos warto się wsłuchać dokładnie w chwili, gdy prolog do słynnego churchillowskiego "początku końca," poprzedzany już jest niedwuznacznie uwerturą "fortec," latających co dzień i co noc nad Niemcami.

Ameryka podejmuje plany monetarne, Ameryka organizuje konferencję żywnościową, w Ameryce powstaje inicjatywa akcji "Okrętów pomocy dla Polski." Ameryka mówi przez usta wiceprezydenta Wallace'a o "stuleciu prostego człowieka."

Niedowiarek polski, myślący kategoriami tak długo łaskawie panującego nam w psychice i umysłowości społecznej króla Ćwioczka bąknie: — "No dobrze, dobrze, ale co z wojną? Tak sobie poczynają jakby już wojnę wygrali."

Jeżeli jest coś najbardziej "amerykańskiego" w tej robocie Ameryki to chyba właśnie to, że chętniej i obszerniej myśli się i mówi o planach urządzenia świata w chwili, gdy plany zburzenia zła na świecie, plany wojenne, zostały nie tylko dokładnie wypracowane, ale co więcej, gdy w te plany się wierzy, gdy się dobrze zna własną siłę.

Przed kilku tygodniami przybył z U.S.A. mój przyjaciel Polak. Powiedział do mnie: — "Amerykanizm to coś bardzo ludzkiego. To najpiękniejsza myśl o ideale świata. Największy ból przeżyła chyba Ameryka w chwili przystąpienia do wojny. Nie miał on nic wspólnego z izolacjonizmem, przeciwnie, był to cichy, ukryty żal z powodu konieczności burzenia rozpoczętej budowy dobra i piękna narodowego przez podjęcie niezbędnych środków dla własnej obrony i obrony świata."

To, co powiedział mi przybyły z Ameryki Polak zbiegło się w dziwny sposób z tym, co wyczytałem w ciekawym artykule J. M. Wróblewskiego, w numerze 20-ym "Wiadomości Polskich" p.t. "Patriotyzm Polonii Amerykańskiej."

"... Kultura amerykańska jest kulturą przyszłości ... Proces powstawania narodu amerykańskiego o odrębnej kulturze nie jest oczywiście zakończony. Wojna obecna, jak zresztą poprzednia, w procesie scalania się tego narodu odegra poważną rolę. Naród ów wierzył wraz ze swymi kierownikami, że lata spokoju, zapewnionego Oceanem, pozwolą na dalszy, w korzystnych warunkach, odbywany rozwój opisywanego procesu. Z bezmiernym żalem amerykańscy uczeni i politycy widzą, że ten przepiękny proces ulega zdeformowaniu przez konieczność przyjęcia dla celów obrony kraju gotowych, starych, a bezwzględnie pełnych wad wzorów europejskich. Naród amerykański jest jak młody koń, którego jeszcze szkoda używać, bo nie wyrośnie tak pięknie jak mógłby, ale który niewątpliwie może już chodzić pod siodłem, a nawiasem mówiąc jest już tak wielki i mocny, że przy nim koń niemiecki wydaje się starym i słabym, choć złośliwym kucem z powycieranymi zębami i pozrywanymi nogami ..."

Mój przyjaciel po odwiedzeniu Londynu i Szkocji przyznał się bardzo prywatnie, że dwa artykuły w prasie polskiej, które przeczytał tutaj, odpowiadają jego poglądom: jeśli idzie o Amerykę, to właśnie ten artykuł Wróblewskiego, a jeżeli chodzi o odczucie terenu tutejszego, to ... — niestety, niestety — artykuł wstępny Jacka Lisa w numerze 19-ym "Polski Walczącej" p.t.: "Nie rozumiem."

Dziwna rzecz i godna zastanowienia. Jacek Lis wrócił z niewoli i patrzy na nas ostro, bezwzględnie, oczami człowieka dopiero co przybyłego ze "Stalagu"; mój przyjaciel przybył z U.S.A. z najbardziej polskiego ośrodka w Ameryce — Chicago — i patrzy tak samo. Jest to niewątpliwie niebezpieczne dla nas, może krzywdzące, jeżeli weźmiemy pod uwagę ostatnie, naprawdę jakby lepsze nastroje, zmierzające do uzyskania spoistości emigracji polskiej na terenie Wielkiej Brytanii — nie mniej jest to zastanawiające.

Ameryka mówi do Europy. Ale co Europa mówi do Ameryki? A w szczególności co my mówimy do Ameryki? My Polacy, którym patriotyzm Polonii Amerykańskiej toruje i ułatwia drogę do wielkich i świeżych źródeł na ziemi Nowego Świata. Są to nie tylko poważne możliwości pomocy materialnej na czas powojenny dla straszliwie wyniszczonego Kraju, ale przede wszystkim są to potężne źródła moralne. Jest to siła, której utrata w tych warunkach wytłumaczona być może jedynie i wyłącznie niedorozwojem naszej umysłowości, bezradnością biurokratów, albo apatią narodową o wszelkich cechach psychozy emigracyjnej.

Budzą się jednostki wśród nas, owszem, budzą się nawet grupy ludzi i próbują mówić do Ameryki. Ale jest to kropla w oceanie. Rzeczy polskie, prowadzone przez nas na terenie Ameryki, odbywają się albo na małą skalę, albo wegetują. W każdym razie można stwierdzić z czystym sumieniem, że jeżeli nawet są podejmowane pewne próby — to nie trafiają w istotę rzeczy; co gorzej: czasem psują sprawę.

Mówi mi mój przyjaciel: — "Robota jest spóźniona o dwa lata. Ale nawet teraz można by wielu rzeczy dokonać przy dobrej, elastycznej, nie biurokratycznej organizacji, przy dobrym rozpoznaniu terenu i ludzi w U.S.A., przy dokładnym obliczeniu możliwości współpracy Polonii Amerykańskiej."

Jak wynika z doświadczeń fiasko różnych naszych imprez na terenie Ameryki miało swoje całkiem zrozumiałe uzasadnienie w starych i pielęgnowanych jeszcze tu i ówdzie "cnotach" narodowych: oficjalności i sztuczności. Ten coctail "cnót" nazwałem kiedyś w skrócie, dawno, bo jeszcze w r. 1937 w Polsce: "Nadętów." Niewątpliwie, jeżeli przez Nadętów mamy stracić U.S.A., to lepiej zastanówmy się, jak stracić Nadętów.

Ktokolwiek przybywa z Ameryki podkreśla warunek prostoty i naturalności zarówno w stosunku do Amerykanów polskiego pochodzenia, jak i do stuprocentowych Yankesów. Ktokolwiek stamtąd przybywa przynosi nam S.O.S. wołając o jak najszybsze podjęcie działania przez polską myśl, kulturę i aktualną informację. Każdy podkreśla, że w porę podjęte działania mogą zaważyć nie tylko na najbliższych wypadkach, ale na przyszłości całych pokoleń naszych w Polsce i Polonii Amerykańskiej.

Nie oskarżamy ludzi, nie wskazujemy osób, nie nazywamy spraw konkretnie. Oczywiście do czasu. Ale wolno nam w tej chwili wołać o to, co więcej każdy z publicystów polskich będzie to uważał za swój obowiązek, bo sprawa ta jest wielka. Większa od największych reorganizacji, od najdłuższych memoriałów, od najtrudniejszych budżetów, najzawilszych zmian personalnych.

O gdyby zerwał się wielki wicher oceaniczny, gdyby przemiótł biurka i szuflady naszych biurokratów "czasu wojny" w Wielkiej Brytanii, gdyby błysk Nowego Świata padł na te zapracowane, nieuchwytne, zawalone własnymi teczkami persony. Gdyby ... A tymczasem wielka sprawa, może jedna z największych w tej chwili, czeka.

Jeżeli powiedział pewien żołnierz amerykański, że "Wielka Brytania wygląda tak jak Ameryka przed 50 laty," jeżeli mój przyjaciel mówi mi: "Chcesz zobaczyć, jaką będzie Europa za 50 lat, jedź do Ameryki" — ta prosta kalkulacja wykazuje, że za sto lat Polska będzie Nowym Światem. Epoka "prostego człowieka" przy dobrej woli naszych przyszłych dygnitarzy może nastąpi nieco prędzej. Trzeba się więc śpieszyć. Może jednak uda nam się wcześniej zbudować lepszy, na nowych wzorach oparty, własny kąt, który ma najpiękniejsze imię na świecie POLSKA.

Wyliczyłem przy pomocy fachowców amerykańskich, że idąc śladem ich kalkulacji, w najlepszym wypadku jako świadek ogólnego szczęścia wszech-europejskiego będę liczył ... 120 lat, wyliczyłem, że niektórzy z naszych zainteresowanych w tej sprawie ludzi będą mieli po 180 i 200 lat, więc na miły Bóg w własnym interesie powinniśmy się pośpieszyć.

Ale do rzeczy: co należy zrobić? Prosto mówiąc, trzeba wystawić pierwszorzędną ekipę informacyjną na Amerykę. Dobrą, zgraną, odpowiednio wyposażoną /z bardzo małym biurem — ważne!/ Jeżeli mowa o wyposażeniu to w każdym razie trzeba przewidzieć, że da się jej z jednego wydania propagandowej książki nie 10 egzemplarzy do rozesłania, ale co najmniej dwa tysiące. Zespół taki mógłby przejść odpowiednie przeszkolenie przy pomocy Polaków, znających dobrze teren, a przybyłych niedawno do Wielkiej Brytanii z U.S.A. Oczywiście działanie tych ludzi musiało by być związane z Polonią Amerykańską i "kongresmanami" polskimi w Stanach Zjednoczonych, co jest nieodzownym warunkiem powodzenia takiej wyprawy.

A po tym pozostaje chyba tylko pobłogosławić taką ekipę i w spóźnionym równo o trzy lata terminie wysłać na trudną, ale rzetelną robotę, której skutki nie dadzą na siebie czekać. A jeśli nawet dadzą, to warto trochę poczekać. Nawet jeżeli wojna skończy się jutro, to pojutrze powinna taka ekspedycja polska wystartować do U.S.A., bo zielony stół — jak wiemy z doświadczeń — czasem wiruje. Pod ten ruch zagrać właściwą melodię, znaleźć odpowiedni rytm — oto zadanie warte oderwania się od teczek i papierów, opatrzonych czerwonym napisem: Pilne!

Słusznie powiedział mój przyjaciel: — "Jeżeli zaraz nie możecie posłać tam ludzi, to nawiążcie przynajmniej kontakty na odległość, n.p. kongresmani polscy są bardzo oddani i życzliwi naszej sprawie. Warto by im posłać kilka broszur o Polsce. Mam parę adresów ..."

Oburzyłem się naprawdę: — "Jak to, co ty opowiadasz? Napewno mają książki o Polsce, wydane w języku polskim czy angielskim. Niemożliwe, aby nie mieli!" "Jednak uparł się: — "A nie mają." Więc wziąłem adresy i będziemy się starali o te broszury. Ale czy to jest zajęcie dla skromnego plutonowego, który wchodząc do "Rubensa" dostaje bicia serca i obcasów, a w "Strattonie" zawrotu głowy /jak wielu/? Jednak spróbuję. Epoka "prostego człowieka" obowiązuje.

—"Gdy tak się na was patrzę tutaj w Wielkiej Brytanii po dwóch latach niewidzenia — kończył rozmowę mój przyjaciel — obserwuję, że zbudowaliście sobie jakiś świat koniecznych autorytetów — w dodatku obcych, na które powołujecie się w każdej najbłahszej czy najważniejszej sprawie, choćby była ona jasna i dawno przesądzona. Wygląda to na zachwianie się w własnej pewności. Razi mnie to, że ciągle ktoś tutaj powołuje się w sprawie Lwowa na "Timesa," a w sprawie Chopina na "Scotsmana"; ostatnio spotkałem wiele osób, które biadały, że "Times" "napisał o Koperniku:

"Zmienne dzieje tego zakątka Europy czynią trudnym ustalenie z całą pewnością pochodzenia Kopernika."

To przecież nie ma żadnego znaczenia — ciągnął mój przyjaciel — skoro wiemy, że nasz jest Chopin, że nasz jest Lwów, nasze Wilno i nasz Kopernik ..."

Wynika z tego, że "Times" nas zaczarował. To trzeźwe, realne spostrzeżenie Polaka z Ameryki niewątpliwie ma w sobie wiele świeżości. Taki powiew pewności będzie zaletą każdego polskiego "zakątka" — pewnie co najmniej za lat 50.

"Zmienne dzieje tych zakątków polskich" — bardzo zmienne, bolesne i krwawe. Nikt nam nie odbierze tych doświadczeń historycznych i nikt nie zwróci łez pokoleń. Los zakątków polskich naprawić możemy tylko własnymi rękami i własną myślą. Teraz, gdy gdzieś daleko od nas rodzi się idea nowego świata.

I dlatego w chwili, gdy Ameryka mówi do Europy, Polska musi mówić do Ameryki.

WIKTOR BUDZYŃSKI

Rozmaitości wojskowe

"Można powiedzieć, że był on w wojnie z Niemcami przed wszystkimi innymi, za wyjątkiem Polaków." Tymi słowami rozpoczyna reporter "*Daily Expressu*" swą charakterystykę "najbardziej udekorowanego lotnika tej wojny," Guy Penrose Gibson'a V.C., dowódcy nalotu na zapory wodne w Ruhrze.

Ma on dziś lat 25. Na dwa dni przed wybuchem wojny był na swej żaglówce gdzieś przy brzegu Anglii, gdy jeden z jego przyjaciół podpłynął do niego z telegramem nakazującym natychmiastowe stawienie się do eskadry. W dwa dni później, ledwo umilkły słowa Chamberlain'a wypowiadające wojnę Niemcom, Gibson leciał na bombowcu na Kiel. Z tej wyprawy — pierwszego nalotu brytyjskiego na Niemcy — przywiózł z powrotem wszystkie bomby, ponieważ ... nie umiał znaleźć celu.

Brał udział w walkach w Francji. Był nad Sedanem i nad Flandrią. Wtedy zestrzelił swego pierwszego Niemca. W "*Battle of Britain*" był pilotem na nocnym myśliwcu. W ciągu dwu miesięcy odbył 99 lotów operacyjnych i zestrzelił 3 "Heinkle" i jednego "Dorniera." Potem powrócił znowu do "*Bomber Command.*" Był nad Le Creusot, Mediolanem, Turynem, Genuą, Berlinem, Stuttgartem, Essen. Brał udział w nalocie na kanał łączący Dortmund i Ems.

1 kwietnia b.r. został "uziemiony." Tak się przynajmniej wydawało jego kolegom, którzy wygadywali nawet na niesprawiedliwość władz RAF'u. W rzeczywistości przygotowywał się do nalotu, który zyskał mu światową sławę. Gdy zrzucił już swe bomby na zaporę wodną w Mohne, latał przez dłuższy czas tam i z powrotem, aby ściągnąć na siebie ogień niemieckiej obrony przeciwlotniczej i ułatwić w ten sposób akcję innym samolotom brytyjskim. Za ten wyczyn zdobył Victoria Cross, który zawiśnie na jego piersi obok D.S.O. i D.F.C. z wstęgą.

* * *

Sygnalizujemy bardzo ciekawy artykuł w "*Tribune*" z 28.5.43. Jest to "*How to use Tanks*" przez Lt.-Gen. Jacob L. Devers. Generał Devers jest głównodowodzącym amerykańskich sił zbrojnych w Europie. Artykuł jest zbyt zwięzły i ścisły, aby się nadawał do streszczenia, zalecamy jednak zainteresowanym przeczytanie oryginału.

* * *

Wojna obecna przy całym swym skomplikowaniu i mimo swej totalności przywróciła dawne znaczenie jednostkowego wyczynu. Masowe ataki piechoty, przygotowanie artylerii i okopy ubiegłej wojny sprawiły, iż ludziom się wydawało, że czasy, kiedy jednostka decydowała o bitwie minęły bezpowrotnie. Wprawdzie pod koniec wojny, akcja lotnictwa przywróciła splendor bohaterstwu, brawurze i zręczności jednostki, jednak były to epizody, fragmenty działań wojennych i nie potrafiły one zaćmić anonimowej grozy "masówek" z pod Paschendeale, Isonza czy Tannenbergu. Nawet akcja czołgów pod Cambrai była pomyślana i wykonana jako atak masowy. Wojnę ubiegłą cechowała szara jednostajność, której wyraz dali pisarze po obu stronach okopów: Dorgelès w "*Les croix en bois*" i Remarque w "*Im Westen nichts Neues.*" To zawiniło także ów "kompleks linii obronnych," który przyćmił trzeźwość myślenia sztabu francuskiego zapatrzonego w fetysz linii Maginot.

Obecna wojna, już w pierwszej swej fazie pokazała wartość jednostki. Kampania wrześniowa zaskoczyła Polaków /i cały świat/ najzupełniej nowym sposobem używania czołgów. Wypady na setki mil poza linie nieprzyjacielskie były czymś tak nowym i tak nieoczekiwanym, że mocarstwa zachodnie zlekceważyły sobie opór polski mówiąc: "Byli słabsi, nieprzygotowani i niezorganizowani, więc ulegli."

Nawet my sami nie zdawaliśmy sobie sprawy z przyczyn naszej klęski. Ta nowa taktyka ataku czołgowego nie może być precyzyjnie opracowana i planowana. Zasięg współczesnego czołgu jest tak duży i kryje tak wiele możliwości i niebezpieczeństw, że dowódca kompanii czy nawet pojedyncze czołgi muszą wykazywać dużo inicjatywy. Wymaga to specjalnego szkolenia i specjalnego nastawienia myślowego i duchowego. Pierwsi zrozumieli to Niemcy i temu zawdzięczali swe początkowe sukcesy. Szkolenie wymaga czasu a Niemcy przygotowywali się do wojny oficjalnie od 1933 roku, nieoficjalnie zaś znacznie wcześniej.

Anglicy z wrodzonym sobie geniuszem wojennym w lot pojęli nakazy wojny współczesnej /w lot — to znaczy, skoro tylko poczuli ją na własnej skórze/. Już 2 września 1940 r., a więc w chwili naprawdę najbardziej krytycznej, gdy żołnierze ewakuowani z Dunkierki jeszcze dobrze nie przyszli do siebie, nowo utworzone oddziały "*Commandos'ów*" zrobiły pierwszy wypad na wybrzeże Francji, na latarnię morską w Casquet.

Od tego zaś czasu "*Commandos'i,*" którzy z czasem przeszli w skład "*Combined Operations Command*" stale porastali w siłę. Byli w akcji we Włoszech /luty 1941/, w kampanii afrykańskiej gdzie w ataku na kwaterę główną Rommla, zginął zdobywając pośmiertne V.C. pułk. Keyes pod St. Nazaire, pod Dieppe, w Norwegii i na Spitzbergen. Największą ich dotychczasową akcją była inwazja Afryki Francuskiej, próba generalna inwazji Europy.

Stworzenie i rozrost tej nowej formacji brytyjskiej opisuje książka wydana przez *Public Relations Branch* admiralicji p.t. "*Combined Operations,*" którą przeczytać powinien każdy żołnierz i którą warto by przetłumaczyć na język polski dla żołnierzy na Środkowym Wschodzie, a zwłaszcza dla Junaków.

* * *

Wyprawa brygadiera Wingate to jedna z najbardziej "*thrilling stories*" tej wojny. Nic dziwnego, że cała prasa brytyjska jest jej pełna. Nawet stateczny "*Times*" poświęcił jej aż dwie całe kolumny redakcyjnej strony /24.5/. Dzieje się tak może dlatego, iż jest w tej "*story*" oprócz "*thrillu*" również coś znacznie głębszego — wojskowo i psychologicznie. Zasadniczego celu i przebiegu tej wyprawy nie podano do wiadomości publicznej, prawdopodobnie ze względu na tajemnicę wojskową ale te fragmenty i epizody, które się przytacza, wystarczają, aby zrozumieć jej znaczenie.

Dowódca wyprawy, Wingate nie jest człowiekiem nowym. Pochodzi on z pobożnej purytańskiej rodziny i jest zawodowym żołnierzem. W 1938 r. odznaczył się w walkach z Arabami w Palestynie. Na czele paruset ludzi, z których połowę stanowili żołnierze brytyjscy a połowę palestyńscy Żydzi, pobił Arabów ich własną bronią — partyzantką nocną i zdobył D.S.O. W listopadzie 1940 wylądował z samolotu w okupowanej przez Włochów Abisynii i był duszą partyzantki podczas kampanii abisyńskiej. Po przystąpieniu Japonii do wojny, jako uznany już autorytet w "*guerilla warfare*" został wysłany do sztabu gen. Wavella do Indii. Wyprawa burmańska była ukoronowaniem jego dotychczasowej działalności, ale nie jest ona tylko wyczynem czy zasługą jednostki. Jest wynikiem współpracy zespołowej, którą się Anglicy tak chlubią.

Wyprawa ta posiadała wszystkie cechy, które przemawiają do wyobraźni Anglików. Była awanturnicza, choć wykonana przez inteligentów i wellsowska przez stosowanie najbardziej nowoczesnych wynalazków w niecodziennej przygodzie. Ot taki, jakże wiele mówiący obraz. W ciągu całej wyprawy brygada Wingate'a zaopatrywana była z powietrza w broń, amunicję, żywność i lekarstwa. Nawet rannych ewakuowano samolotami. Jeden z oficerów zażądał przesłania świeżo wydanej biografii Bernarda Shaw i otrzymał ją. Ktoś inny zgubił sztuczną szczękę — dostarczono mu nową spadochronem. Jeszcze komuś innemu posłano testament do podpisania — testament, który byłby przepadł, gdyby właściciel zginął. Ta mieszanina praktyczności, naiwności i intelektu ma w sobie coś co nas — ludzi kontynentu — śmieszy i bawi, ale kto wie, czy to nie ona właśnie kryje sekret angielskiego powodzenia.

DOMINIK SZCZERBIC

Szanowny Panie Redaktorze,

W załączeniu przesyłam Money Order na sumę £18.13.6 zebraną na pomoc dla Polaków w Rosji podczas wystawy fotograficznej "Through Polish Eyes," w Truro w czasie od 18 — 29 maja 1943. Była to 15-ta z rzędu miejscowość w której odbyła się wystawa. Ogółem oglądało ją 90,000 osób w następujących miej-

---

Wyszedł z druku czerwcowy zeszyt miesięcznika wojskowego "BELLONA," wydawanego przez Sztab Naczelnego Wodza. Na treść numeru złożyły się następujące artykuły: Dr. Tadeusz Offert — Psychotechniczna selekcja w armii; W.W. — Saperzy wczoraj i dziś; B.M. — Odpowiedź p. K.G., autorowi artykułu "Współzawodnictwo broni"; Miesięczny przegląd ważniejszych wydarzeń wojennych; Recenzje.

Zrzeszenie Filmowców i Fotografów organizuje roczny

Wyższy Kurs Fotografii przy Politechnice w Londynie.

Słuchacze otrzymują pomoc materialną i naukową. Ilość miejsc ograniczona — pierwszeństwo będą mieli nauczyciele szkół średnich i powszechnych, mający podstawowe wiadomości z zakresu fotografii.

Pisemne zgłoszenia należy nadesłać do dnia 15 czerwca 1943 r. pod adresem: Zrzeszenie Filmowców i Fotografów, 27, Albemarle Street, London, W.1.

Na odpowiedź należy załączyć znaczek pocztowy.

Pomoc dla Polaków w Rosji: £8,936

scowościach: Edinburgh, Bradford, Blackpool, Nottingham, Leeds, Manchester, Liverpool, Sheffield, Gateshead, South Shields, Middlesbrough, Darlington, Chester, Exeter i Truro. Obecnie wystawa otwarta zostanie w St. Ives a na rozkładzie jest szereg innych miast: Cheltenham, Torquay, Ball, Swindon, etc. Dotychczas przesłałem na ten cel £300 wprost do P.C.K.

Łączę wyrazy szacunku i poważania

Paweł Miller

* * *

Do Redakcji "Polski Walczącej,"

W załączeniu przesyłam "Postal Order" na sumę 20 sh. na fundusz pomocy dzieciom polskim w Rosji.

Z poważaniem

Paweł Wysocki

* * *

W załączeniu przesyłam kwotę £7.12.0, złożoną przez żołnierzy . . . dyonu w miesiącu maju br. z przeznaczeniem na pomoc Polakom w Rosji.

Dowódca Dyonu
W. Jan major

* * *

W załączeniu przesyłam M.O. na kwotę £13.12.7 zebrane przy wypłacie poborów i żołdu w Pułku Przeciwpancernym — na fundusz pomocy polskim dzieciom-sierotom, wyewakuowanym z Rosji.

Z poważaniem

J.L. rtm.
II Z-ca D-cy pułku

* * *

For the Poles in Russia Fund £1 from

Mr. and Mrs. Walker,
Sunnyview, Kingskettle, Fifeshire

* * *

Przesyłam 10 sh. na Pomoc Polakom w Rosji.

Marian Aleksander Strumieński

* * *

Zebrane drogą dobrowolnych datków wśród żołnierzy Baterii Sztabowej jednej z W.J. a złożone na moje ręce "na pomoc dla dzieci — sierot i dla rodzin w Rosji" £5.18.2. przesyłam

ks. Warakomski

* * *

Na pomoc dla Polaków w Rosji przesyłam kwotę £2.0.0 /dwa funty/.

J.K.

* * *

Łączną sumę zbiórki w dzisiejszym numerze £50.6.3. /słownie pięćdziesiąt funtów, sześć szylingów i trzy pensy/ przekazaliśmy Polskiemu Czerwonemu Krzyżowi.

Suma powyższa podnosi ogólną sumę zebraną dotychczas na ten cel za pośrednictwem "Polski Walczącej" do £8,936.0.6 /słownie osiem tysięcy dziewięćset trzydzieści sześć funtów i sześć pensów/, 28 dolarów kanadyjskich, 108 pesetów hiszpańskich, pięć i pół dolarów amerykańskich i 15 czerwieńców.

Zbiórka książek dla żołnierzy polskich na Wschodzie

Przesyłam te kilka zeszytów lub książek dla żołnierzy na Środkowym Wschodzie. Nieodpowiednie — zdaniem Panów — proszę wyłączyć i dać na salvage.

Eug. G. por.

Załączone: Flirt polsko-angielski. Liddell Hart: Obrona dynamiczna. V. Maugham: Lies as Allies. St. Mackiewicz: O jedenastej powiada aktor sztuka jest skończona. Co słychać /nr. 35, 33./ Bauer Czarnomski: Sam na sam. French English of Technical Military Terms.

* * *

P. Wiktor Budzyński ofiarował 40 egzemplarzy broszury Arc. Teodorowicza: "O miłości Ojczyzny" /por. felieton "Bez blackoutu," druk. w nr. 18 "Polski Walczącej"/.

* * *

Dotychczasowa suma zbiórki wynosi 1412 książek.

NA JEŃCÓW POLSKICH W NIEMCZECH

Dear Sir,

Would you kindly forward the enclosed cheque for £6.6.0 for the Polish Relief Fund as a little token from the Catholics of Clacton for their gallant Allies and fellow-Catholics on the occasion of their National Day.

With every kind wish and the assurance of our prayers,

Yours sincerely,

D. Ward, Lector

Oficerowie i Podoficerowie na terenie RAF Maintenance Command —na pomoc Polakom w Rosji złożyli w miesiącu kwietniu 43 r. £15.3.0.

Kierownik Wydziału
dla Spraw Polaków w ZSRR.
/Zofia Leśniowska/

WIECZÓR POEZJI I PROZY

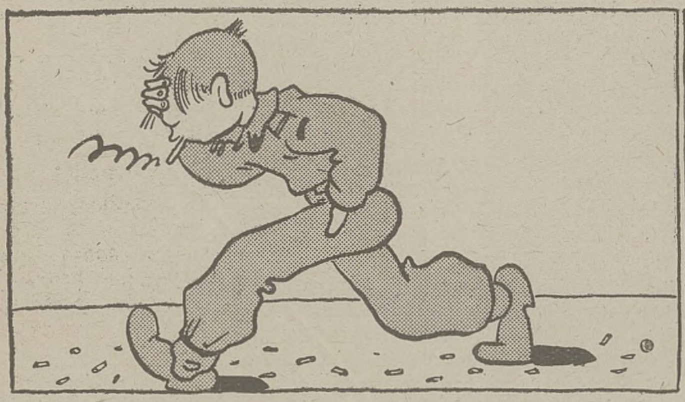
Staraniem tygodnika "Wiadomości Polskie" w piątek 11-go czerwca b.r. o godz. 6.30 w sali Ogniska Polskiego odbędzie się wieczór poezji i prozy. W wieczorze tym udział wezmą: **Aleksander Janta, Ryszard Kiersnowski, Janusz Laskowski i Jan Rostworowski.** Słowo wstępne wygłosi **Antoni Bogusławski.**

Wstęp 2 sh., wojskowi 1 sh. Dochód przeznaczony na rzecz jeńców polskich w Niemczech.

Tekst: RYSZARD POBÓG

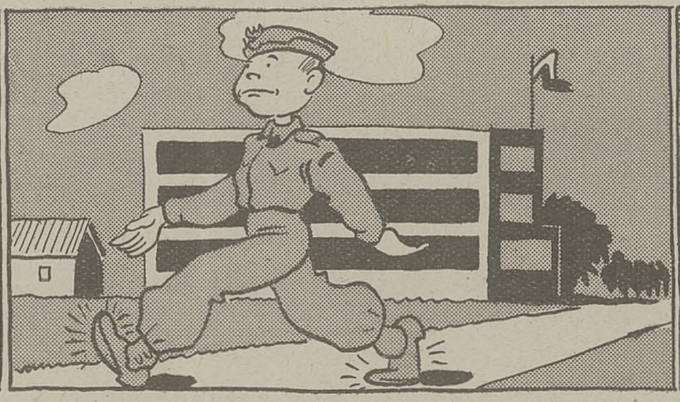
PRZYGODY WALENTEGO POMPKI

Rysunki: MARIAN WALENTYNOWICZ



Tym rodzinnym spotkaniem
Pompka bardzo się zmieszał

I na swojej przeszłości
Przez dzień cały psy wieszał.



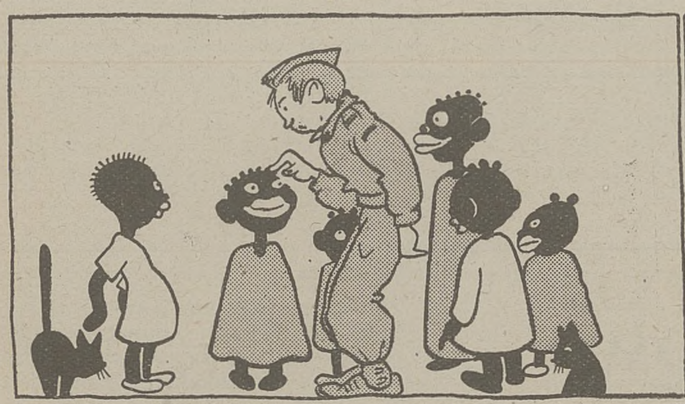
Lecz nazajutrz wyczyścił
Buty, dress, furażerkę

No i poszedł odwiedzić
Egzotyczną szwagierkę.



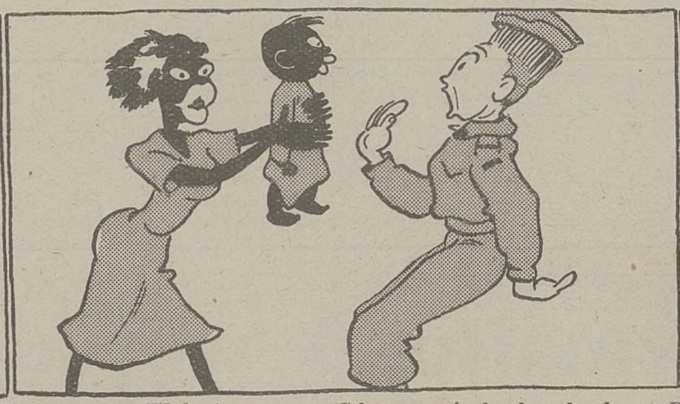
Lecz niestety szwagierka
Nie czekała nań sama—

Powitali go w progu
Czarny tatuś i mama.



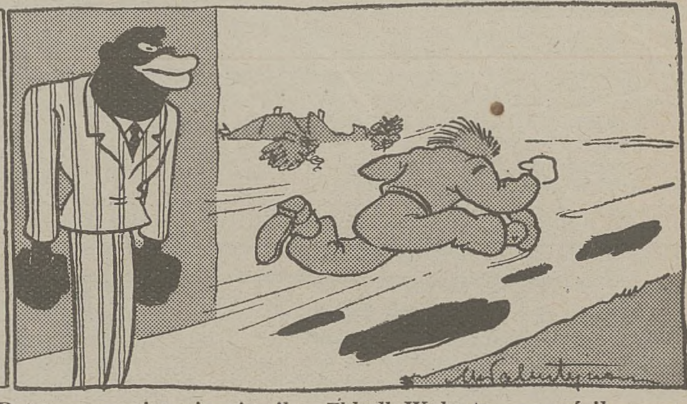
Zanim w mowie Szekspira
Waluś zdania dwa sklecił

Otoczyły go nagle
Czarne koty i dzieci.



Biedne serce Walusia
Wlazło w końcu do grdyki,

Gdy szwagierka krzyknęła:
To twój chłopczyk z Afryki!



Potem szwagier się zjawił.
Bokser. Śmiał się donośnie.

Zbladł Walenty—zawrócił—
Biegiem zwiał gdzie pieprz rośnie.

POLSKI ZJAZD KATOLICKI

Pod protektoratem J. E. Pana Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej Władysława Raczkiewicza i J. E. Delegata Apostolskiego Ks. Arcybiskupa Williama Godfreya odbędzie się w Londynie w dniach 28 i 29 czerwca br. Polski Zjazd Katolicki.

Celem Zjazdu jest przedyskutowanie na pięciu Komisjach problemów dotyczących jednostki, rodziny, kwestji społecznej, państwa i ładu międzynarodowego.

Komitet Organizacyjny prosi wszystkich zainteresowanych, którzy dotąd jeszcze nie zgłosili się, o podanie nazwiska i imienia oraz adresu pod następującym adresem: Komitet Organizacyjny Polskiego Zjazdu Katolickiego, 27, Grosvenor Street, London, W.1.

SPIS RZECZY:

POSZUKIWANIA

STANISŁAW ZWIĄZEK, Pol. Red. Cr., 34, Belgrave Sq., London, S.W.1, poszukuje Antoniego SŁAWIŃSKIEGO z b. 39. pp. Jarosław, ostatni znany adres: Parthenay, rue Bombarde 1.

* * *

MICHAŁ HALIŃSKI, Royal Victoria Hospital, Netley, Hants., n/Southampton W. 86, poszukuje Adama MALACHA i Władysława STRZELCZYNKA z Korzenicy pow. Jarosław.

* * *

PIOTR WINNICKI, Royal Victoria Hos., Netley, Hants, n/Southampton, W. 86 poszukuje KĘPA oraz:

WOJNIUZ z 77. pp. Lida oraz wszystkich znajomych którzy by mogli pomóc mu przy weryfikacji stopnia.

* * *

Poszukuję moich braci: DAWIDA, WŁADKA, JAKÓBA, MOŃKA I USZERA TUCHKLAPER, ostatnio zamieszkałych w Warszawie, ul. Brzeska 18.

Wszelkie wiadomości proszę kierować: Etta Tuchklaper, 15, Long Acre, Londyn, W.C.2.

WYDAJE WYDZIAŁ PRAC KULTURALNO-OŚWIATOWYCH MIN. OBR. NAROD.
Adres Redakcji (Editorial Offices): 5, Portugal St., W.C.2. Tel., HOLborn 7600. I-e piętro.
Redaktor przyjmuje w poniedziałki i wtorki od godziny 11-ej—13-ej.
Redakcja nie zwraca rękopisów niezakwalifikowanych do druku.
Przedruk dozwolony tylko za podaniem źródła.

Warunki prenumeraty: Miesięcznie z przesyłką pocztową—sh.1. **Kwartalnie z przesyłką pocztową—sh.3. Należność prosimy wpłacać przekazem pocztowym (Postal Order) pod adresem Administracji.**

Ceny ogłoszeń: 1 cal przez jeden łam—sh. 20. Zarezerwowane miejsce 50% drożej. Ogłoszenia o poszukiwaniu pracy—2sh. za wiersz.

Adres Administracji (Business Offices): 63, Lincoln's Inn Fields, W.C.2. Tel., Chancery 5505 i 5506.

Printed for "Polska Walcząca." by St. Clements Press, Ltd., Portugal St., Kingsway, W.C.2. Registered at the G.P.O. as a newspaper.